

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

283285

KAROL DICKENS

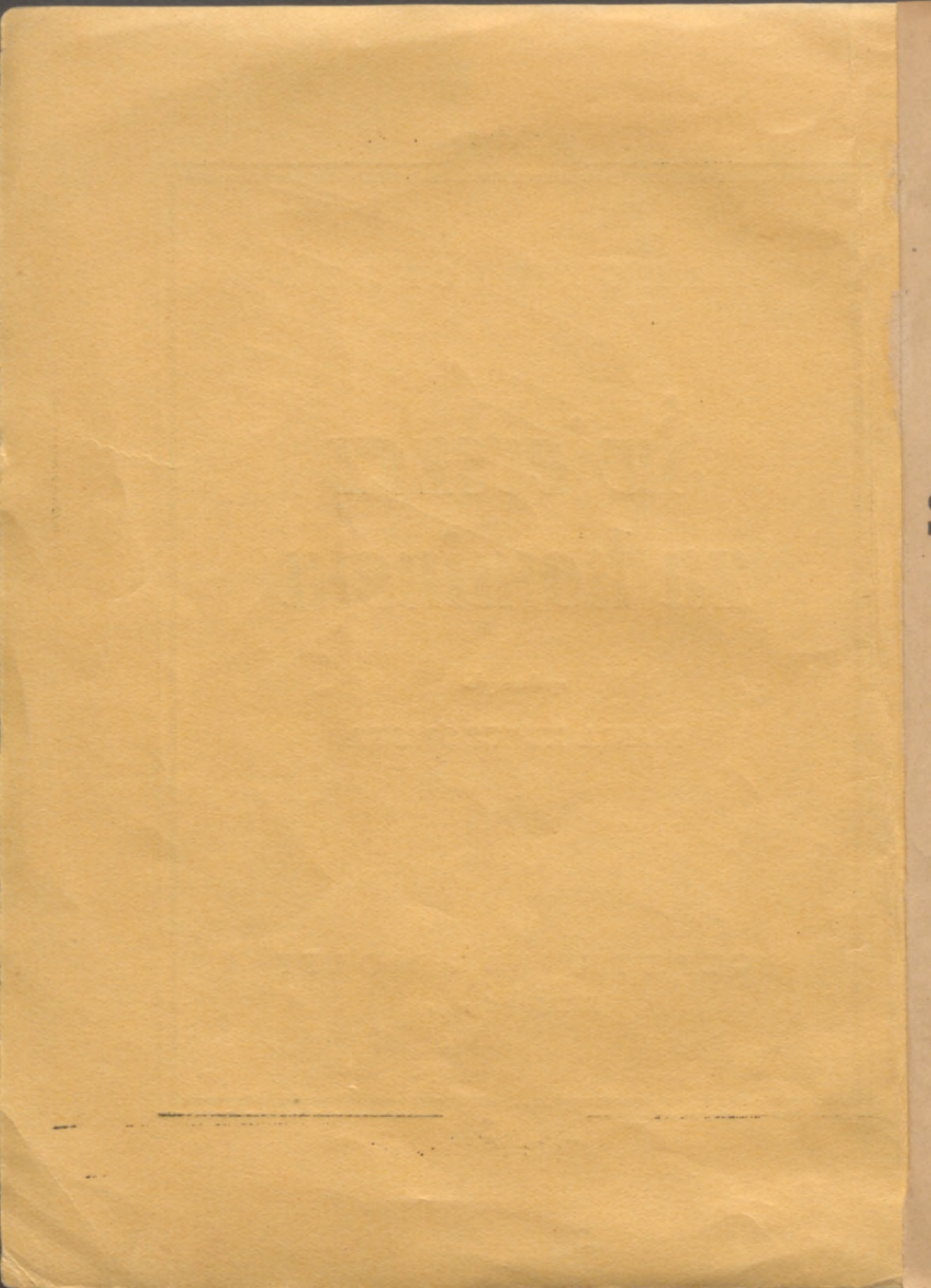
**Świerszcz
za kominem**

spolszczyła

MARIA KRECZOWSKA

GEBETHNER i WOLFF

KRAKÓW 1946



KAROL DICKENS

ŚWIERSZCZ ZA KOMINEM

spolszczyła

MARIA KRECZOWSKA

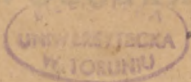
GEBETHNER i WOLFF

KRAKÓW 1946

SWIERSZCZ ZA KOMINEM

283285

MARIA REBCZOWSKA



Drukarnia „Wiedzy” Nr 2, Wrocław, ul. Wierszowa 30.

F 6104

D.9387/57

PIERWSZE Cwierkanie.

Zaczął kociołek! Co mówi pani Peerybingle, tego nawet słuchać nie chcę. Już ja wiem lepiej. Może sobie pani Peerybingle mówić w nieskończoność, że nie mogłaby powiedzieć napewno, kto z nich dwóch rozpoczął, ale ja twierdzę, że zaczął kociołek. Chyba muszę to wiedzieć; tego nie miałbym wiedzieć? Podług małego zegara holenderskiego, z złotym jak wosk cyferblatem, stojącego tam w kącie, kocioł zaczął na całe pięć minut przed pierwszym odezwaniem się świerszcza.

Przecież zegar dawno już przestał bić, a mały kosiarz na zegarze, który za pierwszym jego uderzeniem stale dostaje ataku skurczów, poczem przed maurytańskim pałacem jak wariat siecze kosą na prawo i lewo, skosił już w fantazji co najmniej pół fury siana, zanim świerszcz przyłączył się do wtóru.

Ja w ogóle nie lubię się spierać, o tym wszyscy wiedzą. I gdybym nie był całkiem pewny swego, to z pewnością nie przeciwstawiłbym się tak stanowczo twierdzeniu pani Peerybingle. Nicby mnie do tego nie potrafiło skłonić. Ale tu chodzi o fakty. A faktem jest, że zaczął kociołek, i to co najmniej o pięć minut wcześniej, zanim świerszcz dał jaki-

kolwiek znak życia. Jeśli mi się kto sprzeciwi, to powiem, że o dziesięć minut!

Pozwólcie, że opowiem dokładnie, jak to było. Tym byłbym zaczął już od pierwszych słów, gdyby nie była mi się nasunęła całkiem zrozumiała wątpliwość: kto chce opowiedzieć historię, musi przecież zacząć od początku, a jakże mam zacząć od początku, nie zaczynając od kociołka?

Bo zdaje się, że między kociołkiem a świerzczem odbyły się zapasy, coś w rodzaju współzawodnictwa śpiewaków. A wywiązało się ono i doszło do skutku w sposób następujący.

Pani Peerybingle wyszła w zimny półmrok, i w drewnianych trepkach, pozostawiających na całym podwórzu bezlik wyrazistych odcisków pierwszego twierdzenia Euklidesa, podreptała, stukając po wilgotnych kamieniach, do kadzi z wodą, by napełnić kociołek. Potem wróciła i „minus“ treпки, mówiąc językiem Euklidesa — o stanowiło już znaczną różnicę, gdyż pantofle były duże, a pani Peerybingle mała — ustawiła kociołek na ogniu. Przy czym straciła humor, lub może go tylko chwilowo zarzuciła; bo przeraźliwie zimna woda była w owym stanie rzadkim kleistym, lepkiem, nadającym się do przenikania na wskroś wszelkiego rodzaju substancji, nie wyłączając skórzanych kapek pantofli, dzięki czemu nie tylko dotarła do palców u nóg pani Peerybingle, lecz w dodatku obryzgała jej nogi. A jeśli ktoś, nie bez słuszności ma dobre wyobrażenie o swoich nogach, a przede wszystkim przywiązuje wielką wagę do czystych pończoch, to taka kąpiel z natryskiem jest, bodaj na chwilę, czymś mocno nieprzyjemnym.

Pomijając to, kocioł sam okazał się też wprost nikiemny i tępy, gdyż absolutnie nie dał się umieścić na kółkach rusztu. Żadną miarą nie chciał się stosować do płonących pod nim węgli, postanowiwszy uparcie przechylać się naprzód, jak gdyby był pijany, i absolutnie nie można go było od tego odwieść. Prawdziwy idiota, nie kociołek, zaczął plwać na całe ognisko. W swej kłótności syczał, pienił się i obrzucał ogień jadowitą śliną. A na dobitkę wszystkiego, pokrywa zaczęła stawiać opór palcom pani Peerybingle, machnęła koziółka, po czym zanurzyła się na samym dnie kotła. Dźwignięcie kadłuba zatopionego okrętu nie kosztowało nigdy tyle trudu, ile miała teraz pani Peerybingle, zanim udało się jej wydobyć pokrywę na powierzchnię.

Ale i wtedy jeszcze kocioł wyglądał chmurnie i zawadiacko. Z wyzywającą przekorą podniósł do góry swe uszko, zuchwale i szyderczo kierując dzióbek na panią Peerybingle, jak gdyby chciał jej powiedzieć. „Ani mi się śni gotować! Ani mow!”

Ale pani Peerybingle odzyskała już dobry humor; zacierając więc pulchne rączki, siadła przed kotłem i zaczęła się śmiać. Wesoły płomień podnosił się, to znów opadał z trzaskiem, oświetlając i rozpromieniając małego kosiarza na zegarze tak, że przy tych migotliwych blaskach wydawało się, iż w sztywnej nieruchomości trwa on przed maurytańskim pałacem, a oprócz płomienia nic się wokół nie porusza.

A jednak nie przestał kłusować i regularnie dostawał swych skurczów, dwie drgawki na sekundę. Grozą jednak przejmował widok jego cierpień, gdy zegar zaczynał bić; a gdy kukułka, wyskoczywszy

z tajnych drzwi pałacu sześciokrotnie zakukała, za każdym razem wzdrygał się gwałtownie, jakby usłyszał głos upiora, albo jakby drut czy coś podobnego rozrywało mu nogi.

I dopiero po całkowitym zmlknięciu warkliwych dźwięków, gdy ustało gwałtowne poruszenie wśród umieszczonych pod nim wag i sznurów, kosiarz otrząsał się wreszcie z śmiertelnej trwogi. Miał jednak dostateczny powód do utraty równowagi, bo te klekocące i zgrzytliwe szkielety zegarów mogą swym mechanizmem istotnie człowieka zenerwować; i bardzo się dziwię, że istnieją ludzie a w dodatku poważni, ociążali Holendrzy, mogący się zajmować ich konstrukcją. Przy tym wiadomo że Holendrzy dla dolnej części swego organizmu lubią obłony szerokie i dostatnie; mogliby więc naprawdę mieć tyle dowcipu, by także ich zegary nie wyglądały tak smukło i nago.

I oto nadszedł moment, kiedy kociołek zaczął urządzać sobie przyjemny wieczór. Moment, kiedy wpadł w nastrój miękki, muzykalny, a z gardła jego poczęły się wydobywać dźwięki, których nie mógł widocznie powstrzymać. Początkowo próbował wprawdzie zdławić krótkie, chrapliwe tony, którymi rozpoczęła się jego pieśń, jak gdyby jeszcze nie powziął był decyzji, czy ma się też zaprezentować od swej przyjemnej strony. Moment, kiedy po paru daremnych próbach stłumienia w sobie porywów pogodnego usposobienia, odrzucił całą posepność i postanowiwszy nieodwołalnie nie być już dłużej skwaszonym tetrykiem, rozpoczął śpiew tak miły i pełen humoru, że nawet sentymentalnie kwilący słowik nie mógłby go prześcignąć. A śpiewał tak

wyraźnie! Można było go rozumieć jak książkę, ba, lepiej od wielu tak zwanych książek. Ciepłym swym oddechem wytworzył lekki obłoczek, kóry zwiwnie i wdzięcznie wzleciał parę stóp w górę, poczem zawisł w kącie kominka, niby na własnym swym, rodzimym niebie; następnie zaintonował pieśń z takim zapałem i wesołością, że cały żelazny jego korpus dzwięczał i dzwonił na ogniu. A pokrywka, przed chwilą jeszcze tak uparta i buntownicza — oto ponowny dowód, jak oddziaływa dobry przykład — wykonywała komiczny taniec, pobrzękując jak niemy talerzyk cymbałów, nie mający wyobrażenia o czynności swego bliźniego brata.

Że ta pieśń kociołka miała być pieśnią przyzywającą a zarazem powitalną dla kogoś, bawiącego jeszcze poza domem, dla kogoś, krzepiącego się w tej chwili myślą o zacisznym miłym domostwie i wesołym ogniu, to nie ulega żadnej wątpliwości. Pani Peerybingle, siedząc przed płonącym ogniskiem, doskonale o tym wiedziała. „Ciemno jest na dworze”, śpiewał kociołek, „księżyc się ukrył, cała droga zasłana suchymi liśćmi, w górze mgły tylko i mrok, na dole błoto i kałuże, daleko i szeroko. A w całej tej posępnej atmosferze jest tylko jeden jaśniejszy punkt, ale i ten niełatwo dostrzec; wygląda jakby był skąpany w czerwieni, w ciemnej, gniewnej czerwieni, gdzie słońce i wiatr pospołu wznieciły pożar w chmurach za to, że spowodowały tę niepogodę. Cały krajobraz, jak okiem sięgnąć, wygląda jak jeden czarny pas. Drogowskazy pokrył szron, a rosa leży na miedzy. Lód nie przemienił się jeszcze w wodę, a woda też nie płynie jeszcze swobodnie. Jednym słowem, wszystko na razie wygląda na

opak, ale patrz, oto nadchodzi on, patrz, oto nadchodzi on, patrz, oto nadchodzi on!"

A w tym miejscu, o ile nie macie nic przeciw temu, przyłączył się świerszcz. Dopiero w tym miejscu! I to od razu tak wspaniałym czir-czir-czir, głosem, który w porównaniu z głosem kociółka pozostawał w tak zdumiewającej dysproporcji do wielkości świerszcza (wielkości! Przecież nie można było wprost dostrzec tego drobnego stworzonka!), że gdyby był jako ofiara swego zapala, od razu padł na miejscu, niby broń przepelniona prochem, rozczwierkawszy w pięćdziesiąt kawałków swe maleńkie ciało, to wydawałoby się to jedynie naturalnym i nieuniknionym następstwem jego nadmiernego wysiłku.

Zakończył się więc solowy popis kociółka. Spiewał, co prawda, z niesłabnącym zapalem, ale świerszcz objął pierwsze skrzypce i nie ustępował. Wielki Boże, jakże on ćwierkał! Jego piskliwy, ostry, przenikliwy głos dźwięczał w całym domu, drżący, niby gwiazdy w mroku na dworze. W głosie tym, w chwilach najwyższego napięcia, słyhać było nieopisane trele i tremolujące dźwięki, jak gdyby stworzonko to, porwane zapalem, mimo woli wykonywało skoki w nadmiarze uniesienia. Mimo to, świerszcz i kociółek doskonale zgadzali się w rytmie. Refren pieśni wciąż jeszcze był ten sam, lecz coraz głośniej i głośniej śpiewali tę raz w raz powtarzającą się strofkę.

Ładna, mała słuchaczka — bo ładna była i jeszcze młoda, a chociaż może trochę zbyt tęga i pulchna, co, nawiasem mówiąc, mnie wcale nie razi — zapaliła świecę, spojrzała na małego kosiarza na

zegarze który skosił już sporą furę minut, i wyjrzała oknem, w którym wskutek mroku, nie dostrzegła nic, oprócz odbicia własnej twarzy. Moim zdaniem, na które z pewnością byście się zgodzili, mogła by była patrzeć bardzo daleko, zanim zobaczyła by coś bodaj w przybliżeniu tak wdzięcznego, jak ona sama. Gdy, wróciwszy od okna, zajęła poprzednie swe miejsce, świerszcz i kociółek wciąż jeszcze toczyli zacieklą walkę śpiewaczą. Bo widocznie kociółek miał tę słabą stronę, że nie chciał we właściwej chwili uznać się za pobitego.

I wśród ogromnego zapału w dalszym ciągu odbywały się zawody. „Czir—czir—czir!” wyprzedzał świerszcz o jakie pół mili. „Bum—bum—bum!” podążał za nim kociółek, niby duży bąk. „Czir—czir—czir!” śpiewa świerszcz, krążąc w kąciku. „Bum—bum—bum!” dzielnie cwałuje kociółek, nie myśląc ustąpić z areny. „Czir—czir—czir!” donośniej niż kiedykolwiek ciągnie świerszcz. „Bum—bum—bum!” powolniej, lecz statecznie wtóruje kociółek. „Czir—czir—czir!” ubiega się świerszcz o zwycięstwo. „Bum—bum—bum!” mruczy kociółek z niesłabnącym zapałem bojowym, aż ostatecznie w dzikiej gonitwie współzawodników tak się wszystko pogmatwało, że nawet głowa bystrzejsza od waszej i mojej nie zdołała by rozstrzygnąć z całą stanowczością, czy kociółek ćwierka, a świerszcz buczy, czy świerszcz ćwierka, a kociółek buczy, lub czy też obaj ćwierkają i buczą. To jedno tylko nie ulega wątpliwości: kociółek i świerszcz w pewnej chwili, ulegając zapewne im tylko znanej sile powinowactwa, jednocześnie zespolili swą miłą piosnkę ogniska domowego z promieniem świecy, który rozświe-

ślał przez okno duży kawał drogi. A promień ten, padając na kogoś, zbliżającego się właśnie w ten mroczny wieczór, w błysku sekundy ukazał mu wszystko, co się działo przy zacisznym ognisku i powitał nadchodzącego: „Witaj stary! Witaj kochany!”

W tym momencie kocioł ostatecznie został pobity. Zakipiał i musiano go zdjąć z ognia. Następnie pani Peerybingle pobiegła ku drzwiom, zaskrzypiał wóz, zadzwoniły podkowy konia, odezwał się męski głos, rozdrażniony pies wyskoczył i po chwili wrócił, niemowlę ukazało się na widowni w sposób zdumiewający, tajemniczy — jednym słowem powstał niesłychany zamęt i zgiełk.

Skąd się wzięło niemowlę i w jaki sposób nagle znalazło się w ramionach pani Peerybingle, tego istotnie nie umiałbym powiedzieć. W każdym razie było to prawdziwe, żywe dziecko, które pani Peerybingle trzymała na rękach, przyglądając mu się nie bez pewnego uczucia dumy, gdy rosły mężczyzna, który musiał się mocno pochylić, by ją ucałować, delikatnie pociągnął ją do kominka. Opłaciło się jednak pochylić nad nią. Nawet mężczyzna, liczący sześć stóp i sześć cali, a w dodatku cierpiący na reumatyczne bóle w kościach, nie byłby pożałował tego trudu.

— Mój Boże! John, jakże ci ta słota musiała dokuczyć! — zawołała.

Istotnie, dokuczyła mu porządnie, temu niepodobna było zaprzeczyć. Gęsta mgła niby skryształona rosa osiadła mu na brwiach, a uperłona jego broda zaczęła się pod działaniem ognia mienić wszystkimi kolorami tęczy.

— Ano trudno, Dot, — odparł powdoli, zdejmując z szyi szalik i ogrzewając sobie ręce. — Na dworze nie lato; nic dziwnego, że przemarzłem.

— Johnnie, nie nazywaj mnie Dot¹⁾, bo tego nie lubię, — rzekła tonem, który najwyraźniej przeczył jej słowom.

— A czymże ty jesteś, jeśli nie kropeczką? — odparł z uśmiechem, obejmując ją tak delikatnie, jak tylko potrafił to uczynić swą ciężką ręką i muskularnym ramieniem. — Jesteś Dot, okrągłutka jak żółtko jajka, i trzymasz na rękę coś tak krągłego, pulchnego... Nie, nic nie powiem by nie wyrzec w złą godzinę ale niewiele brakowało, a byłbym powiedział teraz coś dowcipnego. Nigdy jeszcze nie byłem tak bliski dowcipu.

Znów, przynajmniej według własnego jego mniemania, „niewiele brakowało“, by czegoś nie zrobił, ten niezgrabny, ciężki, powolny, uczciwy John; ten John, o tak potężnych kształtach, a tak delikatnej duszy, tak szorstki na pozór, a tak uczuciowy, tak nieporadny na zewnątrz a tak lotny wyobraźnią, taki ograniczony, a tak niezmiernie dobry! O matko naturo, o ile dzieci swe obdarzasz taką szczerą poezją duszy, jaka tała się w piersi tego biednego woźnicy, bo w dodatku był on tylko woźnicą, to spokojnie będziemy słuchać ich prozaicznej mowy i patrzeć na ich prozaiczne życie, dziękując ci z głębi duszy za takich towarzyszy życia!

Przyjemnie było patrzeć na Dot, tę maleńką figurkę, trzymającą na rękach swe dzieciątko. Z załotnym roztargnieniem spoglądając w ogień, prze-

1) Dot znaczy kropeczka.

chylila wdzięczną główkę, i w sposób nawpół naturalny, na wpół sztuczny, ale miły i pieszczotliwy, oparła ją o barczystą, roslą postać woźnicy. Miło też było spojrzeć na niego, jak z nieporadną pieszczotliwością starał się szorstką swą pierś uczynić miękkim wezglowiem dla jej główki, swą dojrzałą męskość dostosować do jej rozkwitającej młodości. Przyjemnie było też patrzeć, jak Tilly, czekając w głębi izby, kiedy wreszcie oddadzą jej dziecko, prawdziwymi oczyma rysia, jakkolwiek liczyła zaledwie lat dziesięć, przyglądała się tej „komedii”, wchłaniając ją z rozwartymi oczyma i ustami. A niemniej miło było patrzeć, jak John, woźnica, słuchając, co Dot opowiada o dziecku, w ostatniej jeszcze chwili cofnął rękę, którą chciał je dotknąć, obawiając się zapewne, by nie zgnieść maleństwa. Potem nachylił się, przyglądając się mu z należytej odległości. Na twarzy jego widniało pomieszanie i duma, jaką okazywałby zapewne poczciwy pies łańcuchowy, gdyby pewnego dnia został niespodzianie ojcem kanarka.

— Czy on nie jest ładny, Johnie? Jaki milutki, gdy sobie tak śpi!

— Nadzwyczaj milutki, — potwierdził John. — Ślicznotka! Czy on tak ciągle śpi?

— Ależ Johnie, co ty mówisz! Gdzieżby znów ciągle spał?

— Więc nie? — w zamyśleniu powiedział John. — A ja myślałem, że zawsze ma oczka zamknięte. Oho!

— Mój Boże! Johnie, jakże mnie przestraszyłeś!

— No, bo jeśli otwiera oczka tak szeroko, jak teraz właśnie, to chyba niedobrze! — tłumaczył się zdumiony woźnica. — To mi się wydaje bardzo dziwne. Spójrz tylko, jak mruga obojgiem ślepiąt! Spójrz na jego buzię; roztwiera ją tak samo, jak złota rybka!

— Johnie, nie zasługujesz na to, by być ojcem, — oświadczyła Dot z powagą doświadczonej matrony. — Ale skądże ty możesz wiedzieć, jakie niedomagania znosić muszą takie maleństwa? Ty nie wiesz nawet, jak się one nazywają, ty mój mądralo! — I przełożywszy dziecko na lewe ramię, poklepała je po plecach, zapewne dlatego, by mu ułatwić oddychanie, poczem śmiejąc się, pociągnęła męża za ucho.

— To prawda, — potwierdził John, zdejmując wierzchnie okrycie, — masz słusność, Dot, że niewiele wiem o tym. Natomiast wiem, że przez cały wieczór wiatr mi porządnie dmuchał w twarz. Przez całą drogę dał od północnego wschodu, prosto w mój wóz.

— Mój biedaku, to prawda! — zawołała pani Peerybingle, od razu zaczynając się krzątać. — Tilly, zabierz to kochane maleństwo, bo ja się muszę zająć wieczorzą. Na śmierć zacałowałabym tę kruszynkę najdroższą. Hopla, Bokser, hopla, kochana psino! Tylko zrobię herbatę, Johnie, a zaraz pomogę ci uporządkować pakunki; będę pracowita, jak pszczoła. „Mała pszczołko, leć i brzęcz...” Johnie, czy uczyłeś się w szkole tego wierszyka?

— Całego się nie nauczyłem, — odparł, — ale niewiele brakowało.

— Ha, ha, ha! — zaśmiała się Dot. — Jakież z ciebie kochany, poczciwy głuptas!

John, nie myśląc bynajmniej sprzeciwić się temu twierdzeniu, wyszedł na podwórze, by się przekonać, czy chłopak z latarką, migocącą jak błędny ognik za oknem, zajął się też koniem, jak należy. Koń był nieprawdopodobnie tłusty, a tak stary, że dzień jego urodzin ginął w pomroce wieków. Bokser czuł, że powinien względy swe rodziciela sprawiedliwie pomiędzy członków rodziny, aby nikogo nie skrzywdzić, wybiegał więc z domu na podwórze i wbiegał napowrót z taką szybkością, że można było dostać zawrotu głowy. Poszczekując, okrążał konia, którego czyszczono przed drzwiami stajni; to znów niby tygrys rzucał się ku swej pani, by w zabawny sposób przystanąć w połowie drogi, lub dotknąwszy swym mokrym nosem twarzy małej Tilly, siedzącej na niskim stołeczku koło kominka, zmuszał dziewczynkę do krzyku. Dla odmiany okazywał znów natrętne zainteresowanie się dzieckiem, by, pokręciwszy się w kółko przed ogniskiem, przycupnąć na podłodze, jak gdyby się już układał do nocnego spoczynku. Ale po chwili zrywał się i zacierając do góry kusy ogonek, wybiegał na podwórze; można było sądzić, iż nagle przypomniał sobie, że się ma z kimś spotkać i popędził w ciemną noc, aby się stawić na oznaczoną godzinę.

— Herbata gotowa! — oznajmiła Dot, krzątając się jak dziecko, gdy się zabawia kuchenką dla lalek. — A tu jest szynka i masło i grzanki i wszystko, czego potrzeba! Johnie, oto kosz na drobne pakunki, jeśli je masz. Johnie, gdzieś ty się podział! Tilly, uważaj, byś dziecka nie upuściła pod komin!

Panna Tilly dość opryskliwie przyjęła tę uwagę, jakkolwiek należy zaznaczyć, że posiadała ona niezwykły, wprost zdumiewający talent stwarzania dla dziecka ciężkich sytuacji. Z nie dającym się opisać spokojem, niejednokrotnie już naraziła krótkie życie swego wychowanka na ciężkie niebezpieczeństwa. Młoda ta dziewczyna miała suchą, kanciastą figurkę, a suknie jej stale groziły opadnięciem z ramion, na których ledwie że wisiały. Strój jej miał tę specjalną właściwość, że przy łaďa sposobności przeświecała przezeń pstrokata flanelowa halka, a w okolicy pleców ukazywały się kawałki gorsetu lub jakieś zielone paski. W bezgranicznym podziwie stale wytrzeszczała oczy na wszystko, przyglądając się doskonałościom swej chlebowawczyni i jej dziecka; to też głupstwa, jakie popełniała ciągle, w równej mierze świadczyły o jej podziwie, zarówno dla serca jak i dla głowy jej pani, mało natomiast przyjemności sprawiały główce dziecka, którą często doprowadzały do zbyt bliskiego kontaktu z drzwiami, stołami, poręczami schodów, łózek i innych tym podobnych przedmiotów. Wszystkie te nieprzyjemności wynikały jednak z ustawicznego zachwytu Tilly, że dostała się do tak miłego domu, gdzie się z nią obchodzą tak uprzejmie. Bo zarówno ojciec Tilly jak i jej matka, były to wielkości nieznanne, a Tilly wychowała się jako podrzutek w przytułku utrzymanym z dobroczynności publicznej.

Ktoby nie widział, jak pani Peerybingle, wracając teraz z mężem, pomagała mu w'lec kosz, czyniąc na próżno niesłychane wysiłki, gdyż John sam niósł cały ciężar, byłby się uśmieł z tego widoku. Ale najbardziej bawiło to Johna. O ile mi wiadomo,

scena ta musiała się także świerszczowi wydać bardzo zabawną, bo nagle zaczął znów ćwierkać ze wszech sił.

-- Ho, ho! — rzekł John, przewlekłe, jak zwykle, wymawiając każde słowo. — Jeszcze nigdy nie był taki wesół jak dziś!

— Johnnie, on nam z pewnością przyniesie szczęście! Zawsze nam zwiastował coś dobrego. Świerszcz u ogniska domowego, to przecież największe szczęście!

Jan spojrział na nią i prawdopodobnie niewiele brakowało, a byłby powiedział, że przede wszystkim ona jest jego świerszczem i że z niej jest zadowolony. Ale trudno widocznie było mu to wypowiedzieć, więc nie powiedział nic.

— Johnnie, pierwszy raz usłyszałam jego wesołą piosenkę owego wieczora, kiedy mnie tu przywiozłeś do mego nowego domostwa jako gosposię. Już blisko rok temu, Johnnie, czy pamiętasz?

Ba, czy pamięta! Rozumie się!

— Wtedy jego ćwierkanie wydało mi się jakby powitaniem! Tyle w nim słyszałam otuchy i dobrej zapowiedzi! Zdawało mi się mówić, że będziesz dla mnie dobry i pobłażliwy, i że nie będziesz się spodziewał mądrej głowy na ramionach swej niemądrej żonki. A tak się tego bałam!

John w zamyśleniu pogładził ją po ramieniu i głowie, jak gdyby chciał powiedzieć: „Nie, nie, nie spodziewałam się tego i rad jestem, że wzięłam cię taką właśnie, jaką byłaś”. I miał do tego dostateczny powód. Bo rzeczywiście była istotą bardzo miłą i dobrą.

— I jeśli świerszcz to chciał mi powiedzieć, Johnie, to dobrze mi przepowiedział, bo byłeś dla mnie zawsze najlepszym, najwzględniejszym, najbardziej kochającym mężem. Znalazłam szczęście w tym domu i za to lubię świerszcza.

— Ja także, Dot, — rzekł woźnica. — Ja także.

— Lubię go dlatego, że jego miłe ćwierkanie nasuwa mi tyle myśli. Nieraz o zmroku czułam się trochę samotną i smutną. Johnie—zanim się jeszcze urodziło nasze maleństwo, które mi teraz dotrzymuje towarzystwa i rozwesela cały dom — często myślałam, jak bardzo byłbyś osamotniony, gdybym umarła; i jak ciężko byłoby mnie samej, gdybym w ogóle mogła potem myśleć i wiedzieć, że mnie straciłeś. I wtedy jego „czir - czir - czir” jakby opowiadało mi o innym głosiku, a przeczując jego słodkie i kochane dźwięki, rozpędzałam swe troski niby przykry sen. Albo, kiedy się obawiałam — bo przez pewien czas bardzo się obawiałam, Johnie — że może małżeństwo nasze okaże się źle dobranym, bo przecież byłam jeszcze takim dzieckiem, a ty byłeś raczej moim opiekunem, niż mężem, i że mimo najlepszej swej woli, nie zdołasz mnie jednak tak pokochać, jak się spodziewałeś, a o co modliłeś się do Boga, to jego „czir-czir-czir” odrywało mnie od tych posępnych obaw i ponownie napełniało otucną. O tym wszystkim, mój drogi, myślałam dziś wieczór, kiedy tu siedziałam, czekając na ciebie; i za to wszystko lubię tego świerszcza!

— Ja także, — powtórzył John. — Ale, Dot, co to powiedziałaś? Ja się spodziewałem pokochać ciebie i modliłem się o to do Boga? Przecież kocha-

łem cię od dawna, zanim cię tu przywiodłem, abys była panią naszego małego domostwa i świerszczał

Na chwilę położyła mu rękę na ramieniu i spojrziała nań ze wzruszeniem, jak gdyby chciała mu jeszcze coś powiedzieć. Ale po chwili klęczała już obok kosza i, wesoło gawędząc, zabrała się do porządkowania paczek.

— Niewiele ich dzisiaj, Johnie, ale na wozie zauważyłam jeszcze kilka dużych pakunków, a chociaż dość z nimi kłopotu, to i zarobek niemały, więc nie mamy powodu do wyrzekania, prawda? A po drodze też już pewnie poddawałeś sporo przesyłek?

— O tak, — potwierdził, — dużo już porozwoziłem.

— Ach! A co to za okrągły pakiet? Johnie, daj-bóg, toż to kołacz weselny!

— No, patrzcie! Ze też to kobieta zaraz coś takiego odgadnie! — rzekł John, pełen podziwu. — Mężczyźni nie przysłoby to do głowy! Jestem pewny, że gdyby taki kołacz zapakować do skrzynki herbaty, albo do beczki z wędzonych łososi, albo do czegoś zupełnie nieprawdopodobnego, kobieta od razu by wywąchała, co jest w środku. Tak, jeździłem po niego do cukierni.

— A waży to — już sama nie wiem ile, może cetnar, — wykrzyknęła Dot, udając, że nie może go dźwignąć. — Dla kogo to, Johnie? Gdzie go trzeba oddać?

— Przeczytaj adres na drugiej stronie, — rzekł John.

— Mój Boże! Johnie, czy to możliwe?

— Tak, tak! Kto byłby przypuszczał coś takiego! — odparł.

— Ależ to niemożliwe! — mówiła Dot, siedząc na podłodze i potrząsając głową z wyrazem powątpiewania, — Chyba nie ten handlarz zabawek z firmy Gruff i Tackelton?

John potakująco kiwnął głową.

Pani Peerybingle też kiwała głową, i to co najmniej jakie pięćdziesiąt razy. Nie potakująco, lecz z niemym, współczującym przerażeniem. Przy tym zaciskała usta, jak się tylko dało, (bo jestem przekonany, że te pełne usta nie nadawały się do zaciskania), i w swym trwożnym roztargnieniu wpatrywała się w wóźnicę, jak gdyby go chciała przeszyć wzrokiem.

— I to ma stać się naprawdę! — mówiła Dot. — Johnie, przecież my razem chodziliśmy do szkoły!

I on może o tym myślał, albo „niewiele brakowało“, by był pomyślał. Patrzył na żonę w milczącym podziwieniu, lecz nie odpowiadał.

Tilly tymczasem, która miała zwyczaj powtarzać bezmyślnie urywki zasłyszanej rozmowy, wierząc, że tym zabawi dziecko, przy czym wszystkie rzeczowniki wymieniała w liczbie mnogiej, paplała: — A malutkie piśszczotki są też handlarzami zabawek, i pojadą do cukierni, i kupią kołaczki weselne, i mamusie je poznają po okrągłych pudełkach — itd.

— On taki stary! — znów zaczęła Dot. — Zupelnie dla niej nieodpowiedni! Powiedz, Johnie, ile jest on starszy od ciebie?

— Ile filiżanek herbaty wypiję dziś na raz, ponad to, co Gruff i Tackelton wypiłby przez cztery wieczory. Radbym to wiedzieć, — dobrodusznie odpowiedział John, przysuwając krzesło do okrągłego

stolika i zabierając się do szynki. — Co do jedzenia, to wiesz, Dot, że jadam mało, ale za to z apetytem.

Nawet to jego zwykłe powiedzenie, gdy siadał do stołu, jedno z jego niewinnych złudzeń, gdyż doskonały apetyt przeczył jego słowom — nie wywołało uśmiechu na twarzy młodej kobiety. Stała wśród paczek i powoli odsunęła nogą pudełko z kołaczem, a chociaż miała oczy ciągle utkwione w podłodze, ani razu jednak nie spojrzała na zgrabne swe trzewiki, sprawiające jej zawsze tak wielką przyjemność. Zatopiona w myślach, stała wciąż nieruchoma, zapomniawszy o herbacie i o Johnie, pomimo, że ją wołał i stukał nożem w stół, by ją wyrwać z tej zadumy. Dopiero gdy wstał i dotknął jej ramienia, usiadła na swym miejscu i roześmiała się, że tak zaniedbała swych obowiązków gospodyni. Ale nie był to jej zwykły, swobodny śmiech. Brzmiał całkiem inaczej.

Świerszcz również zamilkł. Niewiadomo dlaczego, ale izdebka, przed chwilą jeszcze tak miła, nie była już taką. Ani nawet w przybliżeniu nie była już tak miła.

— Więc to już wszystkie pakunki, Johnie? — zapytała przerywając długie milczenie, w ciągu którego poczciwy woźnica zdołał czynem dowieść pierwszej części swego twierdzenia, jedząc z apetytem, aczkolwiek na drugą część, jakoby jadł mało, trudno byłoby się zgodzić. — Nie ma już więcej pakunków?

— Nie, nie ma więcej. Ale poczekajno! Omal, że nie zapomniałem o tym starym panu, — rzekł John, odkładając nóż i widelec i oddychając głęboko.

— O jakim starym panu?

— Na wozie, — odparł John. — Gdy ostatni raz byłem na podwórzcu, spał w najlepsze na słomie, a niewiele brakowało, bym ci o nim był opowiedział, ale mi jakoś wyleciało z pamięci. Hej, panie! Wstawajcie!

Ostatnie te słowa wypowiedział John już za drzwiami, wybiegłszy ze świecą na podwórze.

Tilly, usłyszawszy tajemnicze napomknienie o „starym panu”, w fantazji swej, żywionej rozmaitymi baśniami, wyobrażała sobie, że chodzi tu o jakiegoś nieczystego ducha, co wprawiło ją w takie przerażenie, że zerwała się ze swego stołka przed kominkiem, by się ukryć za spódnicą swej pani. Ale na samym progu spotkała sędziwego przybysza i instynktownie zamierzyła się nań jedyną bronią, jaką miała pod ręką. Bronią tą było, na nie szczęście, niemowlę, wskutek czego powstał straszny zgiełk i zamieszanie, potęgujące jeszcze czujność Boksera, gdyż dobry ten pies, rozważniejszy od swego pana, strzegł śpiącego starca, obawiając się widocznie, by nie uciekł, zabierając kilka młodych topolek, przywiązanych z tyłu do wozu. I teraz jeszcze nie odstępował go ani na krok, szarpiąc go za kamasze i wykonując wściekle ataki na ich guziki.

— Ale też ma pan diabelnie twardy sen, — rzekł John, gdy się uspokoilo. Starzec tymczasem stał z odkrytą głową nieruchomo, na środku izby. — Niewiele brakowało, a byłbym już zapytał, gdzie z siedmiu braci śpiących podziało się sześciu. Ale to byłby dowcip, który bym tylko zepsuł. Niewiele

jednak brakowało, a byłbym zażartował, — mruzczał woźnica, chichocąc, — bardzo niewiele brakowało.

Nieznajomy, który miał długie siwe włosy, ładne rysy, postać, jak na starego człowieka, niezwykle kształtną i rosłą, przy tym ciemne, bystre oczy, obejrzał się dokoła siebie z uśmiechem i poważnym skinieniem głowy powitał żonę woźnicy.

Odzież nosił bardzo dziwną, z przed wielu, bardzo wielu lat, koloru brązowego. W ręce trzymał ciężką, brązową laskę, która, gdy nią stuknięto o podłogę, rozłożyła się w krzesło. Na nim usiadł teraz najspokojniej.

— Patrzi! — zwrócił się woźnica do żony. — Tak siedział przy drodze, gdy go spotkałem. Prosty jak drogowskaz i niemal tak samo głuchy.

— Siedział tak pod gołym niebem?

— Tak! Pod gołym niebem, a już się ściemniało, — objaśnił woźnica. — Dał mi osiemnaście pensów i rzekł: „Płacę za jazdę”. I wsiadł na wóz, no i przyjechał.

— Myślę Johnie, że ma zamiar odejść.

Nieznajomy tymczasem miał tylko zamiar przemówić, co też uczynił.

— Proszę się o mnie nie troszczyć, — rzekł, — i uważać mnie po prostu za przesyłkę do oděbrania. Już się tu po mnie zgłoszą.

To rzekłszy, wyjął z jednej kieszeni okulary, z drugiej książkę, i zabrał się do czytania. Ze Bokser obwąchiwał go w dalszym ciągu, na to nie zwracał najmniejszej uwagi.

Woźnica i jego żona zamienili z sobą bezradne spojżenia.

Nieznamy podniósł głowę, spojrzął na nich i spytał:

— Wasza córka, przyjacielu?

— Żona, — odparł John.

— Siostrzenica? — spytał nieznajomy.

— Żona! — wrzasnął John.

— Ach, czyżby? — zauważył przybysz. — Istotnie? — Taka młoda!

I znów zabrał się do czytania. Ale przeczytawszy jakie dwa wiersze, znów przerwał lekturę, pytając:

— Wasze dziecię?

John odpowiedział potężnym skinieniem głowy, czyniącym takie same wrażenie jak potwierdzenie przez tubę.

— Dziewczynka?

— Chłó-piec! — wrzasnął John.

— Też młody, prawda?

Tu pani Peerybingle skwapliwie się wmixała do rozmowy. — Dwa miesiące, trzy dni! Szczepiony przed sześcioma tygodniami! Lekarz mówi, że doskonale rozwinięty, jakby już miał pięć miesięcy. I wszystko już rozumie! Panu wyda się to dziwne, ale on zaczyna już tak poruszać nóżkami, jakby się zabierał do cho-dzenia!

Mała matka na cały głos krzyczała starcowi do ucha te krótkie zdanie, aż z wysiłku stała się purpurowa. Następnie jako dowód nieprzeparty, namacalny, pokazała mu dziecię, gdy Tilly piszczała, niby jakieś zaklęcie: „Łapaj mnie! Łapaj mnie!“, skacząc przy tym jak rozbrykane cielę dookoła niewinnego niemowlęcia.

— Słuchaj! Już się po niego zgłaszają. — rzekł John. — Ktoś podchodzi do drzwi. Tilly, otwórz.

Ale zanim doszła, drzwi już się odemknęły od zewnątrz. Były to bowiem drzwi całkiem zwyczajne, które starczyło pchnąć, a otwierały się przed każdym, kto tylko chciał wejść. Wchodziło zaś nimi wielu ludzi, bo każdy ze sąsiadów bardzo lubił gawędzić z woźnicą, pomimo że uważano go za mało-mównego. W tej chwili wszedł człowiek drobny, chudy, o posepnym wyglądzie, zamysłony, którego płaszcz zdawał się być zrobiony z workowego płótna, jakim się obija skrzynie, gdy się bowiem odwrócił, by zamknąć drzwi, ponieważ z zewnątrz wciskało się przejmujące zimno, na tylnej części tego okrycia widniały duże litery napisu: „G. i T.” i zamaszystym pismem napisane słowo: „szkło!”

— Dobry wieczór, Johnie! — rzekł mały człowiek. — Dobry wieczór pani! Dobry wieczór, Tilly! Dobry wieczór, nieznamy panie. Jakże małeńki? A Bokser chyba też zdrów?

— Wszyscy się dobrze mamy, Kalebie, — odpowiedziała Dot. — Spójrzcie tylko na dziecko, a od razu to poznacie.

— Albo wystarczy popatrzeć na panią gospo-
się, aby się już całkiem o tym upewnić. — rzekł Kaleb.

Nie spojrział jednak na nią; miał oczy zadu-
mane, błędne, jakby raz po raz patrzył nimi w inne
czasy, w inne miejsca, bez względu na to, co mówił.
A to samo dałoby się też powiedzieć o jego głosie.

— Albo wystarczyłoby mi spojrzeć na Johna,
— rzekł Kaleb. — Albo na Tilly. Lub nawet na Bok-
sera. Tak, to prawda.

— Dużo masz teraz zajęcia, Kalebie? — spytał woźnica.

-- O tak, Johnie, dużo, — odparł, z nieprzytomną miną człowieka, poszukującego conajmniej kamienia filozoficznego. — Dość zajęcia. Teraz największy popyt na arkę Noego. Nie możemy wprost nastarczyć. Chętnie wykonałbym staranniej odzinę Noego, ale za tę cenę niepodobna. Mnie samemu sprawiałoby to większą przyjemność, gdybym mógł lepiej uwydatnić, który jest Sem, który Cham, a które postacie niewieście. A także muchy nie mają odpowiednich rozmiarów, w stosunku do słoni. Zresztą, co to mnie ostatecznie może obchodzić! Johnie, czy masz dziś jakie paczki dla mnie?

Woźnica wsunął rękę do kieszeni płaszcza, który był złożył i wydobyl opakowany starannie w mchy i bibułę, maleński wazonik.

— Spójrz! — rzekł, wypakowując wazonik z największą ostrożnością. — Ani jeden listek nie został uszkodzony! Pełno kwiatów!

Mętne oczy Kaleba ożywiły się, gdy z rąk woźnicy brał wazon, dziękując mu za fatygę...

— Drogo kosztuje, — rzekł John. — O tej porze kwiaty są drogie!

— To nie stanowi różnicy. Niech kosztuje, ile chce, dla mnie będzie jeszcze tanio, — odparł mały człowieczek. — I co tam jeszcze, Johnie?

— Mała skrzyneczka, — odparł woźnica. — Oto jest.

— Dla Kaleba Plummera, — odcyfrował adres. — Johnie, to chyba nie dla mnie? Przesyłka pieniężna?

— Gdzie ty wyczytałeś jakąś przesyłkę pieniężną? — zapytał woźnica, patrząc mu przez ramię.
— To przecież inny pakunek.

— Ach tak! Słusznie, słusznie! — odrzekł Kaleb. — Zresztą, mogłaby też być przesyłka pieniężna, gdyby mój kochany chłopak był jeszcze w tej złotej Południowej Ameryce. Kochałeś go jak własnego syna, prawda? Nie potrzebujesz mnie o tym zapewniać, bo wiem. W tej skrzyneczce są oczy dla lalek, które wyrabia moja córka. Och, Johnnie, gdyby i dla niej były tu oczy widzące!

— Tak, jabym też tego pragnął, gdyby to było możliwe! — zawołał woźnica.

— Dziękuję ci za serdeczne słowa, — rzekł Kaleb. — Pomyśleć, że ona nie może widzieć tych lalek, które całymi dniami wlepiają w nią swe ślepkie! Ach, w tem tkwi cierń! Ile ci jestem winien, Johnnie?

— Dałżebyś pokój! — oburzył się woźnica.

— No tak, to na ciebie wygląda, — rzekł mały człowieczek. — Zawsze taki dobry i uczynny. No, więc to już wszystko?

— Nie sądzę, — rzekł woźnica. — Możesz zresztą sam zobaczyć.

— Może jeszcze coś dla pryncypała? — spytał Kaleb po chwili namysłu. — Zapewne. Poto przecież przyszedłem, ale tak mi się w głowie kręci od tych arek Noego i tego wszystkiego, że całkiem zapomniałem. A może on tu już był?

— Chyba ma teraz co innego do roboty. Zajęty przecież konkułami, — odrzekł woźnica.

— Mimo to przyjdzie, — rzekł Kaleb, — bo powiedział mi, bym wracał do domu krótszą drogą,

a może się założyć, że mnie dopędzi. — Co prawda, lepiej będzie, gdy pójdę. Pani Peerybingle czy wolno Boksera uszczypnąć w ogon?

— Aj, Kalebiel! Co się wam zachciewa?

— No, no, proszę się nie gniewać, — rzekł mały człowieczek. — A możeby i Bokser się rozgniewał? Bo nadeszło zamówienie na szczekające psy, więc wolałbym, o ile to możliwe przy cenie sześciu pensów za sztukę, robić podług wzorów z natury. Dlatego chciałem Boksera trochę podrażnić.

Szczęśliwym trafem Bokser, nie czekając na podrażnienie, zaczął szczekać z wielkim zapalem. Że zwiastowało to jednak nowego gościa, więc Kaleb odłożył na odpowiedniejszą chwilę swe studia z natury i, wzięwszy na plecy okrągłe pudełko, spieszenie się pożegnał. Mógł sobie jednak zaoszczędzić trudu, gdyż na progu spotkał już nowego gościa.

— Ach! Wy tutaj? Zaczekajcie trochę. Wrócę z wami do domu. Moje uszanowanie, panie Peerybingle! Tak samo pańskiej ładnej żoncy. Z każdym dniem śliczniejsza. I lepsza, o ile to możliwe. I młodszą, — mruknął do siebie. — Bierz to lichol!

— Byłabym zdziwiona tym komplementem, panie Tackleton, — rzekła Dot, tonem wcale nie ujmującym, — gdybym nie wiedziała o pańskich zaręczynach.

— Więc pani zna tę całą historię?

— Powoli próbuję w nią uwierzyć, — rzekła Dot.

— Dużo to panią kosztuje trudu?

— Bardzo.

Tackleton, handlarz zabawek, powszechnie znany jako właściciel firmy Gruff i Tackleton, jakkolwiek Gruff dawno już usunął się ze spółki — otóż Tackleton, był człowiekiem, którego rodzice i opiekuni popełnili fatalną omyłkę, wybierając dlań zawód handlarza zabawek. Gdyby byli z niego zrobili lichwiarza, albo sprytnego krętacza adwokackiego, albo egzekutora sądowego, albo wreszcie maklera, to byłby już w młodości miał sposobność wyładować swą żołąć w najrozmaitszych brudnych sprawkach i bardzo możliwe, że po takim wyszumieniu się byłby dla urozmaicenia został na starość wcale miłym człowiekiem. Zmuszony jednak do spokojnego zajęcia handlarza zabawek, nie miał sposobności do puszczania wodzów swym złym instynktom. Stał się więc istnym potworem, a choć zawdzięczał swe dochody wyłącznie dzieciom, był jednak ich nieubłagany wrogiem. Gardził ich zabawami i służącymi do tego zabawkami. Ze złośliwości wymyślał też zabawki jak najszkaradniejsze. Chłopcom, pędzącym trzodę na jarmark, stróżom nocnym, otrębującym godziny, staruszkom, robiącym pończochy, nadawał wygląd potworny, odstraszaający. W doborze wstrętnych masek, kudłatych, okropnych diabłów, smoków o nosach wampirów, szatańskich tancerzy, którzy ani na chwilę nie mogli przystanąć, wirując bezustannie, złość jego wieściła istne triumfy. W takich wynalazkach, przyprawiających dzieci o trwogę śmiertelną, był on prawdziwie wielki. Aby do magicznych latarń dostać najpotworniejsze obrazki: duchy ciemności, w postaci ryb o karykaturalnych twarzach ludzi, stracił nawet część swego majątku. I miał tę satysfakcję, że małym jegomościon

pomiędzy szóstym a dziesiątym rokiem życia napędził niemało strachu i zatrul im cały wieczór wigilijny.

A jego stosunek do ludzi i życia nie był też inny niż do zabawek. Można więc sobie wyobrazić, że w wielkiej pelerynie zielonego koloru, sięgającej po łydki, nie mieścił się wcale osobnik sympatyczny, a w ciężkich butach o sztylpach koloru mahoniu tkwił jegomość w wysokim stopniu niemity.

A jednak Tackleton, handlarz zabawek, miał się niebawem ożenić. Mimo wszystko miał się ożenić. I to z kobietą młodą i ładną.

Wcale nie wyglądał na narzeczonego, gdy stał teraz w kuchni woźnicy: sucha jego twarz zmięta była i pomarszczona, postać naprzód pochylona, jakby pod wpływem zgnębienia, kapelusz krzywo wciśnięty na sam nos, ręce zagłębione w kieszeniach, a cała jego sarkastyczna, złośliwa istota wyzierała z małego kącika jego małego oka. A jednak miał się niebawem żenić.

— Za trzy dni. W najbliższy czwartek. W ostatni dzień pierwszego miesiąca roku. To dzień mego ślubu, — oświadczył Tackleton.

Czy wspomniałem już, że zawsze miał jedno oko szeroko rozwarte, a drugie niemal całkiem przymknięte, i że właśnie to przymknięte oko wyrażało wszystkie jego myśli? Zdaje mi się, że tego jeszcze nie powiedziałem.

— To dzień mego ślubu! — powtórzył Tackleton, dzwoniąc pieniędzmi w kieszeni.

— Ach, przecież to także dzień naszego ślubu! — wykrzyknął woźnica.

— Ha, ha! — zaśmiał się Tackleton. — To zabawne! No, ale bo też z was taka sama para! Zupełnie taka sama!

Oburzenie Dot z powodu tego zuchwalstwa nie da się wprost opisać. Na co on sobie jeszcze pozwoli? W swej wyobraźni gotów się rozzuchwalić do tego stopnia, by spodziewać się w dodatku takiego samego dzieciątka! Przecież to skończony wariat!

— Co ja to jeszcze chciałem powiedzieć, — mruknął Tackleton. — Jedno słóweczko! — Trącił woźnicę łokciem i odprowadził go trochę na stronę. — Przyjdziecie chyba na wesele? Siedzimy przecież obaj na jednym stołku.

— Jak to? — zapytał woźnica.

— No, pewna tylko różnica wieku, — zachichotał Tackleton. — Proszę nas najpierw odwiedzić którego wieczora.

— Niby po co? — zapytał John, zdumiony tą natrętną gościnnością.

— Po co? — odparł tamten. — Także sposób przyjmowania zaproszeń! Po co? Dla przyjemności, dla towarzystwa, itd.

— Sądziłem, że pan nie lubi życia towarzyskiego, — rzekł John szczerze i po prostu.

— Ba! Widzę, że z panem trzeba, jak to mówią: kawę na ławę. Inaczej pan nie zrozumie. Otóż rzecz ma się tak, że pan i pańska żona macie w sobie coś takiego, że w waszym towarzystwie wszystko smakuje znacznie lepiej. Niby kawa zaprawiona płotczkami. Już my to wiemy...

— Nie, wcale pan nie wie, — przerwał John, — i w ogóle nie rozumiem, co pan dziś wygaduje.

— Niech i tak będzie! — rzekł Tackleton. —
Więc nie wiem! No i cóż z tego? Chciałem tylko
powiedzieć, że wy robicie wrażenie takiego miłego,
dobrego małżeństwa, wasze towarzystwo podziela-
łoby więc korzystnie — na przyszłą panią Tackle-
ton. A chociaż nie sędzę, by pańska żona była mi
bardzo życzliwa, to jednak nie może mi w danym
wypadku zaszkodzić, bo sam jej widok jest taki
miły i pociągający, że wywiera dobry wpływ, na-
wet gdy chodzi o drobnostki. Więc przyjdziecie,
prawda?

— Postanowiliśmy już spędzić rocznicę naszego
ślubu w domu, — rzekł John. — Już przed pół ro-
kiem przyrzekliśmy to naszemu świerszczowi. Zdaje
nam się, widzi pan, że w domu...

— Phil Co znaczy: w domu? — zaśmiał się
Tackleton. — Cztery ściany i dach! Czemu pan nie
zabije tego świerszcza? Ja zabijam wszystkie, gdzie
tylko napotkam. Nienawidzę tego ich ćwierkania...
W moim domu są też cztery ściany i dach. Przyjdź-
cie do mnie!

— Co, pan zabija świerszcze? — spytał John.

— Tak, rozdeptuję je, — odparł, ciężko uderza-
jąc nogą o podłogę, jakby i teraz miażdżył świer-
szcza. — Więc przyrzeka pan? Przyjdziecie? Osta-
tecznie wyjdzie to i panu na dobre, gdy kobiety
zaczną w siebie wmawiać, że są spokojne i zadowo-
lone i niczego lepszego nie pragną. Ja znam kobiety
i wiem, jakie one są. Co jedna powie, tego druga
trzymać się będzie do upadłego. Takie już między
nimi współzawodnictwo; jeśli pańska żona powie
do mojej: — Jestem najszczęśliwsza w świecie,
a mój mąż jest najlepszy w świecie i kocham go

nade wszystko, — moja powie jej to samiuteńko, a może jeszcze więcej i sama niemal w to uwierzy.

— Czy pan chce powiedzieć, że w rzeczywistość tak nie jest? — zapytał woźnica.

— Że co nie jest? — zawołał Tackleton, a słowom jego towarzyszył krótki, ostry śmiech.

Woźnica uzupełnił sobie w myśli: „że przyszła żona pana kocha”. Spotkawszy się jednak przypadkowo ze spojrzeniem na wpół przymkniętego oka, błyskającego ku niemu z ponad nastawionego kołnierza peleryny, pomyślał, że ta twarz wcale nie nadaje się do wzbudzenia miłości; dodał więc: „Chciałem tylko zapytać, czy rzeczywiście ona nie wierzy w to?”

— Ach, to z pana filut! Stroi pan sobie żarty! — zachichotał Tackleton. Lecz woźnica, w swej prostoduszności zwolna tylko pojmujący, o co tamtemu chodzi, spojrzał mu tak bystro w oczy, że Tackleton musiał się jaśniej wytłumaczyć.

— Przyszedł mi kaprys, — rzekł więc, podnosząc do góry palce lewej ręki, — przyszedł mi kaprys i postanowiłem ożenić się z młodą, ładną kobietą. Stać mnie na taki kaprys, więc sobie na tego pozwolę. Wbiłem to sobie do głowy i basta! Ale spojrz pan tam!

Wskazał na Dot, siedzącą przed kominkiem w głębokiej zadumie, z głową wspartą na rękę. Woźnica spojrzał na nią, potem na niego, następnie znów na nią i na niego.

— Niewątpliwie, żona szanuje pana i jest panu posłuszna, — rzekł Tackleton; „a mnie by to również wystarczyło, gdyż nie jestem wcale sentymentalny.

Ale czy pan nie sądzi, że na tym się też kończy jej stosunek do pana?

— Sądzę, — zauważył woźnica, — że wyrzuciłbym przez okno każdego, ktoby się ośmielił tak twierdzić.

— Całkiem słusznie, — odparł tamten ze zdumiewającym pośpiechem. — Rozumie się. Bez wątpienia. Ależ naturalnie! Jesteś o tym przekonany. Dobranoc! Przyjemnych marzeń!

Woźnicę ogarnęło zmieszanie i dziwnie niemiłe uczucie zaniepokojenia, co się też przejawilo w całym jego wyglądzie.

— Dobranoc, mój drogi przyjacielu! — rzekł Tackleton tonem współczucia, — muszę odejść. Rzeczywiście, widzę jasno, że położenie nasze jest jednakowe. Więc nie zajdziecie do nas jutro wieczór? Niech i tak będzie! Następnego dnia jednak idziecie w odwiedzin, wiem o tym. Tam się spotkamy, przyjdę z moją przyszłą żoną. To dobrze na nią podziała. Zgoda? Dziękuję. A to co?

Żona woźnicy wydała okrzyk, głośny nagły, ostry, od którego rozebrzmiała cała izba, niby szklane naczynie, poczem zerwała się z miejsca i stała jakby skłamieniata ze zdumienia i strachu. Nieznajomy podszedł był do ognia by się ogrzać i stał tuż obok jej krzesła. Nie rzekł jednak ani słowa.

— Dot! — krzyknął woźnica. — Mary, najdroższa! Co się stało?

W najbliższej chwili wszyscy byli koło niej. Kaleb, który zasnął był na pudle z kołaczem, nie mogąc w pierwszej chwili odzyskać przytomności umysłu, chwycił Tilly za włosy, poczem zaczął ją przeproszać.

— Mary! Dot! — wołał woźnica, trzymając ją w objęciach. — Czy jesteś chora? Co ci się stało? Powiedz, kochana żonko!

Nie odpowiadała; klasnęła tylko w dłoń i zaśmiała się dziko, nieprzytomnie. Następnie osunęła mu się z rąk na podłogę, zasłoniła twarz fartuszkim i zaczęła gorzko płakać. Potem znów się roześmiała i na przemian znów zaczęła płakać, a wkońcu powiedziała, że jej zimno i pozwoliła się podprowadzić do kominka, gdzie zajęła poprzednie miejsce. Siwo-włosy starzec stał nieruchomo, jak przedtem.

— Teraz mi lepiej, Johnie, — rzekła, — całym mi już dobrze... ja... Johnie...

Ale John stał po drugiej stronie, więc czemu zwracała się do obcego starego pana, jak gdyby mówiła do niego? Czy jej się w głowie pomieszało?

— To nic, kochany Johnie... Przestraszyłam się nagle..... coś mi stanęło przed oczyma... sama już nie wiem... Ale teraz już zniknęło.

— Ciesz mi, że zniknęło, — mruzczał Tackleton, swym wymownie przymrużonym okiem wodząc po całej izbie. — Radbym tylko wiedzieć, gdzie zniknęło i co to było. Hm, Kalebie! Zbliź się trochę! Czy nie znasz tego siwego gościa?

— Nie znam, panie pryncypale, — szeptem odparł Kaleb, — nie widziałem go nigdy w życiu. Ładna postać, jak na taki podeszły wiek; byłby z niego doskonały model. Z taką ruchomą brodą, sięgającą aż do kamizelki, byłby doskonały.

— Za mało brzydki, — rzekł Tackleton.

— Na zapalniczkę, na przykład, byłby model znakomity! — dowodził Kaleb, głęboko zamysłony. — Głowę odśrubowywałoby się a do środka wkłada-

ło by się zapalki. Ot, tak, jak teraz stoi, odwrócić go tylko do góry nogami a byłaby wspaniała zapalniczka.

— Nie jest dość brzydki, — rzekł Tackleton. — Nie robi przecież żadnego wrażenia. No, chodź! Zabierz pudło! Spodziewam się, że już wszystko dobrze? — zwrócił się do gospodyni.

— O tak, wszystko zniknęło! — rzekła mała Kobiętka, wykonywując ręką gest pożegnania, by sobie wreszcie poszedł. — Dobranoc!

— Dobranoc! — rzekł Tackleton. — Dobranoc, Johnie! A ty, Kalebie, uważaj na pudło! Zabiłbym cię, gdybyś je upuścił. Na dworze ciemno, że oko wykol, a powietrze obrzydliwe! Dobranoc!

Raz jeszcze bystrym spojrzeniem obrzuciwszy całą izdebkę, wyszedł, a za nim Kaleb z kołaczem weselnym na głowie.

Woźnica był tak przerażony stanem żony i tak zajęty uspakajaniem jej i krzepieniem serdecznymi słowami, że na chwilę zapomniał o obecności nieznanego. Teraz spostrzegłszy go stojącego na uboczu, rzekł do żony:

— Widzisz, że nikt się jakoś po niego nie zgłasza. Muszę mu dać znak jakim kołem z płotu, by sobie poszedł dalej.

— Pan wybaczy, — odezwał się stary pan, przystępując do niego, — obawiam się, że pańska żona nie czuje się zbyt dobrze; ale służący, który przy mej ułomności, — chwycił się za uszy i potrząsnął głową, — jest mi niemal nieodzowny, nie stawiał się na czas i zaczynam przypuszczać, że zaszło nieporozumienie. Słota na dworze trwa dalej,

wobec czego bardzobym prosił o użyczenie mi noclegu.

— Tak, tak! — zawołała Dot, — oczywiście!

— Hm! — mruknął woźnica, zdumiony skwapliwością żony. — Tak, nie mam nic przeciwko temu, ale nie wiem właściwie...

— Daj pokój! — przerwała. — Kochany Johnie, daj pokój!

— Przecież on nie słyszy, — odrzekł.

— Wiem, ale... Tak, proszę pana, zgoda. Johnie, zaraz mu przysposobię łóżko.

I szybko wybiegła, by to zrobić. Jej widoczne wzburzenie i pomieszanie zdziwiło woźnicę, spoglądającego za nią w osłupieniu.

— Poszły mateczki posłać łóżeczka! — paplała Tilly do dziecka. — A pieśzcotki mają włosy ciemne i kędzierzawe, gdy się z główek zdejmie czapeczki. A kochane paniusie przy ogniu były w wielkim strachu!

Gdy człowieka opadnie bezradność i wątpliwość, umysł jego z niewytłumaczalnych powodów zaczyna pociągać błażostki. Tak i woźnica, chodząc teraz wzdłuż i wszerz pokoju, bezwiednie powtarzał niedorzeczne słowa piastunki. I powtórzył je tyle razy, że nauczył się ich na pamięć. I wciąż je jeszcze recytował, gdy Tilly — w myśl wskazówek akuszerki — natarłszy rękoma łysą główkę niemowlęcia, włożyła na nią czapeczkę.

— A kochane paniusie przy ogniu były w wielkim strachu!... Chciałbym jednak wiedzieć, czym się Dot tak przeraziła! — mrucał woźnica do siebie, wciąż jeszcze w zamyśleniu chodząc tam i rapowrót. Podszept handlarza zabawek odsuwał od siebie,

a jednak przejmowały go one dziwnym niepokojem. Tackleton był bowiem chytry i bystry, a John w bolesnym poczuciu swej prostoduszności uświadamiał sobie, że właśnie te jego mgliste napomknienia sprawiają mu przykrość. Nie miał zamiaru łączyć w myśli słów Tackletona z dziwnym zachowaniem się żony, jednakowoż obydwie te przedmioty rozmyślań spotykały się w jego głowie i nie był w stanie ich rozłączyć.

Łóżko było wnet gotowe, a gość odmówiwszy wszelkiego posiłku, poza filiżanką herbaty, rychło się oddalił. Wtedy Dot, zapewniając, że znów się czuje całkiem dobrze, ustawiła fotel męża przed ogniskiem, nałożyła mu fajkę i jak zwykle, sama usiadła obok na małym stołeczku.

Zawsze siadała na tym stołeczku. Myślę, że zdawała sobie sprawę, jak na nim wygląda wdzięcznie i powabnie, i ładnie.

W nakładaniu fajki na długim cybuchu była wprost małą mistrzynią. Na całej kuli ziemskiej niktby jej w tym prawdopodobnie nie zdołał dorównać. Gdy pulchnym palcem wsuwała tytoń, następnie dmuchała w cybuch, by go oczyścić, a potem podnosiła go do oczu niby teleskop, by się przekonać, czy jeszcze coś tam nie zostało, przybierając przy tym arcyzabawną minkę — przy wszystkich tych czynnościach wyglądała nadzwyczaj, pociesznie. A co się tyczy tytoniu, to była w tej dziedzinie znawczynią pierwszorzędną. Gdy zapalała mężowi fajkę, którą już trzymał w ustach, przy czym migała mu ogarkiem tuż pod nosem, nie podpalając jednak brody, dawała dowód artyzmu, wielkiego artyzmu.

A oto świerszcz i kociołek znów zanuciły pieśń

na cześć małej mistrzyni! Jasny płomień ku jej chwale znów się zabrał do swej pracy, na którą nie zwracano uwagi. Woźnica, którego czoło już się rozpogodziło, a twarz rozszerzyła się w cichym zadowoleniu, najpochopniej i najprędzej zaczął ją wyśławiać.

Powoli i w zamyśleniu palił starą swą fajkę, emaliowany zegar tykał, czerwony żar płonął, świerszcz ćwierkał; i oto wszedł do izby ów duch opiekuńczy domowego ogniska w postaci elfa i zaczął przed oczyma jego duszy wyczarowywać rozmaite postaci. Cały korowód postaci, przedstawiających Dot w rozmaitych okresach jej życia. Więc gromadkę małych Dot, uganających po łąkach i zrywających kwiaty; wstydliwych Dot, na wpół się broniących, na wpół poddających się prósbom jego własnego szorstkiego odbicia; Dot, młodych mężateczek, które wysiadłszy z dylizansu, ze zdumieniem brały w posiadanie klucz od domu; Dot, mateczek, niosących do chrztu niemowlęta; Dot, dojrzałych kobiet, które, aczkolwiek wciąż jeszcze młode i kwitnące, prowadziły swe córki na wiejskie zabawy; Dot, czerstwych babuni, otoczonych wieńcem wnucząt o różowych buziach; Dot, zwiędłych, opierających się na łaskach, z trudem wlokących się staruszek. Przewinął się też szereg woźniców, u których stóp leżały stare, ślepe Boksery; widział też nowe bryki z młodszymi woźnicami i napisem: „Bracia Peerybingle”; a także chorych, starych woźniców, obsługiwanych przez młode, kochające ręce; a także świeże mogiły zmarłych woźniców.

I kiedy świerszcz pokazywał mu te wszystkie obrazy, John widział je wyraźnie swymi w płomień

utkwionymi oczyma. Serce woźnicy przepełnione było spokojem i szczęściem i z głębi duszy dziękował swemu opiekunów duchowi, całkowicie zapomniawszy o przedstawicielu firmy Gruff i Tackleton.

Ale jakiego to młodego człowieka ten sam elf ustawił za krzesłem młodej kobiety? Dlaczego wciąż stoi on jeszcze przy niej i oparłszy rękę o gzyms kominka powtarza raz po raz: „Wyszła za mąż! I nie za mnie!”

O Dot! Zbłąkane, błędzące serce! Dla zjawiska tego nie ma miejsca w korowodzie postaci, zaludniających wyobraźnię twego męża — czemuż więc cień ten paść miał na jego ognisko?

DRUGIE ĆWIERKANIE.

Kaleb Plummer i jego ślepa córka żyli w zupełnym odosobnieniu, jak to bywa w bajkach — a z całej duszy błogosławię te bajki i sędzę, że wy się do błogosławieństwa tego przyłączycie, bo w naszym powszednim, szarym życiu tylko one mają jeszcze coś do powiedzenia, coś jaśniejszego, promiennego! Otóż Kaleb Plummer i jego ślepa córka żyli całkiem samotnie, w małym drewnianym domku, podobnym raczej do łupiny orzecha, bo w rzeczywistości nie był on też niczym innym jak brodawką na wystającym, czerwonym, ceglany nosie realności Gruff i Tackleton. Dom Gruff i Tackleton był największy na całej ulicy i od razu zwracał na siebie uwagę; ale „budkę” Kaleba można było rozwalić jednym iderzeniem młota, a całe rumowisko uprząć na taczakach.

Gdyby ktoś temu mieszkaniu Kaleba wyświadczył wówczas zaszczyt zauważenia jego braku, to chyba dzięki temu tylko, że jego usunięcie byłoby upiększeniem dużego domu. Bo istotnie było ono przychepione do niego, niby muszla do kadłuba okrętu, niby ślimak do drzwi, niby grzybek do potężnego pnia. A jednak było ono zarodkiem, z którego rozwinęła się z czasem okazała, pojęzna firma Gruff i Tackleton. Pod jego bowiem krzywym daszkiem, przedostatni Gruff wytwarzał w bardzo skromnym zakresie zabawki dla chłopców i dziewczynek, którzy się od tego czasu postarzeli, zniszczyli i wyrzucili zabawki dziecinne, lub nawet ułożyli się na wieczny spoczynek.

Powiedziałem, że tu żył Kaleb ze swą córką. Powinien bym jednak być powiedzieć, że tu żył Kaleb, gdyż córka jego żyła gdzie indziej — w czarodziejskim domostwie, które jej urządził Kaleb, w domostwie, do którego bieda i niedostatek nie miały przystępu, gdzie troska i niedola wcale nie istniały. Kaleb nie był czarodziejem, ale w jedynej sztuce czarodziejskiej, nam dostępnej, w czarodziejstwie poświęcającej się, niewyczerpanej miłości, natura była mu mistrzynią i z jej to nauk powstały wszystkie cuda, otaczające jego córkę.

Slepa dziewczyna nigdy się nie dowiedziała, że sufit i ściany mogą być odrapane i brudne, że mogą w nich być duże szczeliny, nie zatłkane, próchniejące, szkodliwe. Slepa dziewczyna nigdy się nie dowiedziała, że żelazo rdzewieje, drzewo gnije, tapety się strzępią i opadają, a domek ich coraz bardziej traci kształt i coraz bardziej się zapada. Slepa dziewczyna nigdy się nie dowiedziała, że na półce kuchennej

stoją szkaradne naczynia kamienne i gliniane, że w domu panuje troska i przygnębienie, że włosy Kaleba coraz bardziej siwieją przed jej niewidomą żrenicą. Ślepa dziewczyna nie dowiedziała się nigdy, że mają pryncypała samolubnego, bezwzględnego, jednym słowem, że Tackleton był takim, jakim był w istocie, a żyła w przekonaniu, że jest to dowcipujący oryginał, lubiący żartować i nie chcący słuchać podziękowań, gdy w rzeczywistości jest przeciw ich aniołem opiekuńczym.

A cała ta piękna złuda była dziełem jej ojca, jej prostodusznego, naiwnego ojca. Ale i on miał świerszcza przy swym ognisku; gdy osierocona przez matkę ślepa dziewczynka była jeszcze całkiem mała, ojciec jej ze smutkiem w duszy słuchał ćwierkania świerszcza, a dobrotliwy elf podsunął mu myśl, że nawet ciężki to kalectwo może się dla niej stać niemal błogosławieństwem, jeśli on, swymi sztuczkami, potrafi ją uszczęśliwić.

Bo cały ród świerszczy to potężne duchy opiekuńcze, chociaż ludzie obcując z nimi, często o tym nie wiedzą; a świat widzialny nie ma głosów równie miłych i łagodnych i prawdziwych, którym można by tak całkowicie ufać, gdyż zawsze udzielają rad najlepszych, najzbawienniejszych, podszeptowanych sercu ludzkiemu przez duchy domowego ogniska — jak głosy świerszczów.

Kaleb i jego córka siedzieli razem przy pracy w zwykłym swym warsztacie, służącym im równocześnie za mieszkanie. Było to miejsce bardzo dziwne. Mieściły się w nim domy wykończone i dopiero rozpoczęte dla lalek wszelkiego wieku i pozycji społecznej. Izdebki przedmiejskie dla lalek,

żyjących w skromnych warunkach; kuchnie i sypialnie dla lalek z klasy uboższej; miejskie wspaniałe salony dla bogaczek i arystokratek. Niektóre mieszkania były już urządzone, odpowiednio do wymagań lalek o niedużych dochodach; inne można było w jednej chwili urządzić zbytkownie, gdyż na półkach stało mnóstwo stolików i krzesielek, szaf, łóżek i wyścielanych mebli. Szlachta, ziemiaństwo, mieszczaństwo, dla których mieszkania te były przygotowane, leżeli tu i ówdzie w koszach, z oczyma wlepionymi w sufit. Ale w oznaczeniu różnic społecznych i odpowiednich pozycji towarzyskich — co, jak uczy doświadczenie, w życiu nasuwa przeróżne trudności — wytwórcy lalek bezsprzecznie przewyższyli naturę, działającą nieraz samowolnie i nierozsądnie. Nie poprzestając bowiem na oznakach tak niemiarodajnych jak jedwab, drelich i łachmany, ustanowili cechy osobiste nie dopuszczające pomyłek. Tak więc jaśnie oświecona lalka miała członki z wosku, pełne symetrii; niższa rangą była ze skóry, jeszcze niższa ze zwyczajnego płótna. A biedacy mieli zamiast rąk i nóg po prostu patyki — co raz na zawsze określało ich sferę, uniemożliwiając im też raz na zawsze przekroczenie jej granic.

W izbie Kaleba były jednakowoż nie same tylko lalki, ale także inne jego wyroby. Były to na przykład arki Noego, w których ptaki i zwierzęta tłoczyły się niby śledzie w beczce. Dzięki śmiałej wyobraźni twórczej, arki te miały u drzwi dzwonki, nie dające się wprawdzie pogodzić z domostwem unoszącym się na falach potopu, lecz czyniące wrażenie czegoś bardziej dostosowanego do naszych

wymagań. Małe smętne wózki, o przeraźliwie skrzy-
piących kółkach, leżały całymi tuzinami. Mnóstwo
małych skrzypiec, trąbek i innych narzędzi do
torturowania ludzkich uszu, poza tym niezliczona
ilość armat, pancerzy, mieczy, szabel i strzelb. Całe
szeregi linoskoczków w różowych spodenkach, na
czerwonych tasiemkach ulatujących w górę ponad
piętrzące się bariery, by od razu głową na dół zlecieć
na powrót; to znów starzy panowie o czcigodnym
wyglądzie, skaczący jak szaleńcy przez poręczę,
ustawione do tego właśnie celu, tuż przed drzwiami
ich domów. Zwierzęta wszelkiego gatunku, zwięsz-
cza konie najrozmaitszych ras, począwszy od pstró-
katych sieków na czterech drewnianych patykach
i odrobiną szczeciny jako grzywą, do pełnej krwi
ognistego rumaka. Trudno byłoby wyliczyć niez-
liczone tuziny śmiesznych postaci, każdej chwili go-
towych za pokręceniem małej sprężyny wykonywać
najniemożliwsze błazeństwa; a równie trudno było-
by wymienić jakąkolwiek ludzką słabostkę, występ-
pek, czy głupotę, któraby w pracowni Kaleba, w ten
czy ów sposób nie została odtworzona. I wcale nie
karykaturalnie, gdyż mały nacisk — nieraz mniejszy
jeszcze od pociśnięcia sprężyny w zabawce, wystar-
czy całkowicie, by ludzi, mężczyzn czy kobiety,
pchnąć do najrozmaitszych błazeństw.

Wśród wszystkich tych figurynek pracował Ka-
leb i jego córka. Ślepa dziewczyna zajęta była jako
krawcowa lalek, Kaleb zaś malował właśnie i wsta-
wiał cztery podwójne okna w bardzo pięknej, ob-
szernej willi.

Głęboka powaga, malująca się w każdym rysie
twarzy Kaleba, jego roztagnienie i zaduma, które

możnaby zrozumieć u przemęczonego alchemika lub badacza, dziwnie nie licowały z jego zajęciem i otaczającymi go błahostkami. Ale błahostki, wykonywane dla zdobycia chleba, przemieniają się w rzeczy bardzo ważne; pomijając zresztą ten szczegół, nie kwapiłbym się tak bardzo z twierdzeniem, że Kaleb, piastując godność lorda-kanclerza, lub członka parlamentu, czy adwokata, albo nawet wielkiego przemysłowca, byłby o jotę mniej pomysłowy w drobnostkach, wątpię natomiast, czy te drobnostki byłyby wtedy tak nieszkodliwe.

— Więc wczoraj wieczór przemoczyłeś, ojcze, swój piękny nowy płaszcz? — pytała córka.

— Tak, przemoczyłem do nitki mój piękny nowy płaszcz, — potwierdził, rzucając okiem na napisane już okrycie z workowego płótna, suszące się właśnie koło komina.

— Jakże się cieszę, ojcze, że go sobie kupiłeś!

— I w dodatku u takiego krawca, — rzekł Kaleb. — U pierwszorzędnego krawca, szyjącego podług najnowszej mody! Ten płaszcz jest dla mnie zanadto ładny.

Slepa dziewczyna przestała szyc i zaśmiała się wesoło.

— Zanadto ładny, ojcze! Czy może być dla ciebie coś zanadto ładnego?

— Powiadam ci, że wprost wstydzę się nosić coś tak strojnego, — mówił Kaleb, radując się coraz to promienniejszym wyrazem jej twarzy. — Doprawdy! Przecież wyrostki, a nawet ludzie poważni oglądają się za mną na ulicy i mruczą: „Ten się dopiero wyelegantował!” Nie wiedziałem doprawdy, co z sobą począć. Albo wczoraj ten żebrak! Wprost

nie chciał odejść, gdy mu powiedziałem, że jestem biednym człowiekiem. Zaśmiał się tylko i rzekł: „Wielmożny pan chyba żartuje”. Czułem, że się zaczerwieniłem ze wstydu. Naprawdę, nie powinienem był kupować takiego płaszcza.

Szczęśliwa ślepa dziewczyna! Jak twarz jej promieniała zachwytem!

— Ojczy, — zawołała, klaszcząc w dłonie; — widzę cię tak dokładnie, jak gdybym miała oczy, których brak odczuwam, gdy cię nie ma. Masz na sobie płaszcz błękitny...

— Jasnobłękitny, — wtrącił Kaleb.

— Tak, tak, jasnobłękitny! — zawołała dziewczyna, podnosząc do góry swą rozpromienioną twarzyczkę. „Przypominam sobie, że to kolor nieba! Powiedziałeś mi, że jest błękitny. A więc płaszcz jasnobłękitny...

— Pięknie skrojony do figury, — rzekł Kaleb.

— Tak, pięknie skrojony do figury! — powtórzyła ślepa dziewczyna, śmiejąc się radośnie. — Ojczy, jak ładnie i młodo musisz w nim wyglądać, ze swoją pogodną twarzą, żywymi oczyma, lekkim chodem i ciemnymi włosami!

— Dość już, dość! — zawołał Kaleb. — Inaczej stanę się jeszcze próżny!

— Już nim jesteś, ojczy! — śmiała się ślepa dziewczyna, całkiem rozbawiona. — Tak, ojczy, jesteś próżny, szcycisz się swą powierchownością! Ha, ha, ha! Dawno cię już przejrzałam!

Jakże różny był wytwór jej wyobraźni od Kaleba, siedzącego obok niej i wpatrującego się w jej rozpromienioną twarz! Nie myliła się tylko, mówiąc o jego lekkim chodzie. Od wielu lat nie przekroczył

progu izdebki swym powolnym chodem człowieka zmęczonego, lecz lekkim, swobodnym, którym potrafił złudzić jej słuch. I chociażby mu na sercu było niewiadomo jak ciężko, dla niej zmuszał się zawsze do ruchów lekkich, swobodnych, radujących jej serce.

Bóg to raczej wiedzieć, czym to wyjaśnić, ale mnie się zdaje, że chaotyczność i dziwną niejasność istoty Kaleba tym należy tłumaczyć, że z miłości dla swej ślepej córki przeinaczał siebie i wszystko dokoła. Jakżeby mały ten człowieczek nie miał być trochę pomyłony, gdy przez cały szereg lat musiał własną swą osobę i wszystkie przedmioty, odnoszące się do ich życia, przedstawiać w świetle, niezgodnym z rzeczywistością.

— A więc skończone, — rzekł Kaleb, cofając się o parę kroków, by lepiej móc osądzić swą pracę. — O ile za pięć groszy można coś wykonać należyście, to zrobiłem to możliwie najlepiej! Szkoda jednak, że cała fasada domu od razu się otwiera! Gdyby tu były schody i drzwi do każdego pokoju z osobna! Ale to najgorsze w tym moim zawodzie, że zawsze muszę siebie samego mamić i łudzić.

— Mówisz tak cicho, ojczu. Czy jesteś zmęczony?

— Ja zmęczony? — powtórzył Kaleb ogromnie żywo. — Czemu miałbym być zmęczony? Zapewniam cię, Berto, że jeszcze nigdy w życiu nie byłem zmęczony. Nie znam po prostu tego uczucia.

Wyglądem swym przypominał w tej chwili dwie postacie na gzymsie komina, ziewające i przeciągające się ze znużenia. Aby jednak słowom swym dodać większej wagi, przestał nagle ziewać, wypro-

stował się i zaczął nucić wesołą piosnkę o pieniącym się szampanie. Przybrał teraz ton lekki, swobodny przy czym jednak twarz jego wydawała się tysiąc razy chudszą i smutniejszą niż zwykle.

— Co? Śpiewacie sobie? — zawołał Tackleton, wsuwając głowę do izdebki. — Do licha! Ja sobie na to pozwolić nie mogę!

Nikt nie byłby też posądzał Tackletona, aby mógł kiedykolwiek śpiewać. Wcale na to nie wyglądał.

— Nie, ja sobie nie mogę pozwolić na śpiewanie, — mówił dalej Tackleton. — Cieszy mnie, że wy możecie. Spodziewam się, że robota na tym nie ucierpi. Bo na jedno i drugie nie starczy chyba czasu, co?

— Gdybyś mogła widzieć, jak żartobliwie mru-ga do mnie oczyma! — szepnął Kaleb do córki. — Co to za niezwykły dowcipniś! Gdybyś go nie znała, gotowabyś przypuszczać, że mówi serio, prawda?

Ślepa skinęła głową, uśmiechając się.

— Powiadają, że ptaka, który śpiewać nie umie lub nie chce, trzeba zmusić do śpiewania, — war-knął Tackleton. — A sowa, która śpiewać nie umie i nie potrzebuje, a jednak chce śpiewać? Co z nią zrobić, by ją nauczyć śpiewu?

— Och, gdybyś mogła widzieć, jak on teraz pocieszenie mru-ga oczyma! — szepnął Kaleb do córki. — Coś zabawnego!

— Zawsze jest pan wesół i dobrej myśli! — za-wołała Berta, śmiejąc się pogodnie.

— Ach, i ty tu jesteś! — mruknął Tackleton. — Biedna wariatka!

Uważał ją istotnie za wariatkę, a do mniemania tego doszedł — nie wiem, czy świadomie, czy bezwiednie — na tej podstawie, że go lubiła.

— A skoro tu już jesteś, więc powiedz, jak się miewasz? — burknął Tackleton.

— Och, dobrze, bardzo dobrze, a tak jestem szczęśliwa, jak pan pragnąłby wszystkich uczynić szczęśliwymi, gdyby to było w pańskiej mocy!

— Biedna wariatka! — mruczał Tackleton. — Ani śladu zdrowego rozsądku! Beznadziejna wariatka!

Slepa ujęła jego rękę i ucałowała, potem przez chwilę zatrzymała ją w swych dłoniach, pieścizotliwie tuląc do niej policzki. W geście tym było tyle niewymownej miłości i głębokiej wdzięczności, że nawet Tackleton był wzruszony i głosem mniej burkliwym niż zwykle, rzekł:

— No, cóż to ma znaczyć?

— Postawiłam go tuż przy łóżku, zanim się wieczór położyłam, i śniło mi się o nim. A gdy nadszedł dzień i wspaniałe czerwone słońce... ojczy, prawda, że jest czerwone?

— Tak, Berto, czerwone jest rano i wieczorem, — odrzekł biedny Kaleb, żałośnie patrząc na swego chlebodawcę.

— Gdy słońce wzeszło i jasne światło, o które się niemal bałam potknąć, wpadło do izby, podniosłam ku niemu kwitnący krzaczek i dziękowałam niebu, że mi pan sprawił taką radość.

— Dom wariatów! — mruknął Tackleton. — Niebawem potrzebny będzie kaftan bezpieczeństwa, gdy tak pójdzie dalej!

Ze splecionymi rękoma, Kaleb patrzył przed siebie błędnym wzrokiem, gdy córka jego mówiła. Jak gdyby wątpił — a zdaje mi się, że wątpiwości jego były bardzo silne — czy Tackleton istotnie uczynił coś, zasługującego na to podziękowanie. I gdyby w tej chwili miał być możność swobodnego działania, i pod karą śmierci pozostawiono mu wybór: uśmiercić na miejscu handlarza zabawek, lub rzucić mu się do nóg, zależnie od tego, na co zasługiwał, — to jestem pewny, że ani przez jedną chwilę nie wahałby się w wyborze. Wiedział, że sam przyniósł do domu krzaczek róży — a niósł go tak ostrożnie! — sam, własnymi ustami wypowiedział niewinne kłamstwo, aby jej nie dać poznać, jak co dnia niemal odmawiał sobie czegoś, by tylko jej sprawić przyjemność.

— Berto! — odezwał się Tackleton, tonem nieco łagodniejszym, — zbliż-no się do mnie!

— O, ja prosto trafię do pana! Proszę mnie nie prowadzić! — odparła.

Berto, czy powiedziec ci pewną tajemnicę?

— Jak pan chce! — żywo odpowiedziała dziewczyna.

Jakże jaśnieje jej twarzyczka, osłonięta rękawiczką! Jaki zachwytp małuje się na niej, gdy w napięciu czeka, co jej powie.

— Dziś przecież jest dzień, kiedy ta mała, rozpieszczona pani Peerybingle składa ci regularnie swą wizytę i urządza tu swój zwariowany piknik, prawda? — zapytał Tackleton, nie umiejąc ukryć swej niechęci do całego tego przedsięwzięcia.

— Tak, — odpowiedziała Berta, — na dziś przypada ten dzień.

— Wiedziałem o tym, — rzekł Tackleton, — i radbym przyłączyć się do waszego towarzystwa.

— Ojczy, czy słyszysz? — z zachwytem wykrzyknęła ślepa.

— Tak, tak, słyszę — mrucał Kaleb, patrząc przed siebie znieruchomiałym wzrokiem lunatyka. Ale w to nie wierzę. To niewątpliwie jedno z moich kłamstw.

— Bo widzisz, — mówił dalej Tackleton, — ja bym chciał Peerybinglów zbliżyć do May Fielding, z którą się żenię.

— Pan się żeni! — wykrzyknęła ślepa, cofając się przerażona.

— To jest tak beznadziejna idiotka, że słusznie obawiałem się, czy w ogóle zrozumie co powiem, — mrucał Tackleton. — Tak, Berto, żenię się z May. Kościół, pastor, dzwonnik, kościelny, karetka oszklona, dzwony, śniadanie, kołacz weselny, atlasowe wstęgi, kocia muzyka, jednym słowem, cała ta heca już przygotowana. Wesele! Wiesz przecie co to znaczy? — Rozumiesz?

— Wiem, — łagodnie odpowiedziała ślepa. — Rozumiem.

— To pięknie, — mrucał — wcale się tego po tobie nie spodziewałem. Otóż z tego powodu chciałbym się przyłączyć do waszego towarzystwa i przyprowadzić tu May i jej matkę. Wpierw przysłałbym jeszcze coś na ten piknik. Zimną pieczeń baranią, albo inną jaką dobrą potrawę. — Czy przyjmiesz mnie w gościnę?

— Tak, — rzekła.

Spuściła głowę, odwróciła się i stanęła zamyślona, ze splecionymi rękami.

— Jeszcze nie jestem tego pewny, — mruzczał Tackleton, patrząc na nią. — Kalebie, zdaje mi się, że już o tym wszystkim zapomniałeś!

— Ostatecznie mogę zaryzykować i powiedzieć, że tu jestem, — pomyślał Kaleb. — Panie pryncypale!

— Postarajcie się, by nie zapomniała, co jej powiedziałem.

— Ona niczego nie zapomniała, — odrzekł Kaleb, — to jedyne, czego nie umie.

— Każda gęś uważa swe małe za łabędzia, — zauważył handlarz zabawek, wruszając ramionami. — Biedaczysko!

Uczyniwszy tę uwagę tonem najgłębszej pogardy, firma Gruff i Tackleton wyszła.

Berta stała na miejscu, gdzie ją pozostawił, zatopiona w myślach. Cała poprzednia wesołość zniknęła z jej zgnębionej twarzy, wyglądającej teraz bardzo smutno. Trzy czy cztery razy potrząsnęła głową, jak gdyby żałowała jakiegoś wspomnienia czy straty. Ale posępne jej myśli nie wyładowywały się w słowach.

Kaleb już od pewnej chwili zajęty był zaprzęgnięciem pary rumaków do powozu w sposób bardzo radykalny, bo przybijając pó prostu uprząż do szlachetnych części ich ciał.

Nareszcie i ona wróciła na miejsce, gdzie zwykła była pracować; usiadła na krześle i rzekła:

— Ojcze, jestem sama w ciemnościach. Potrzeba mi teraz twoich oczu, zawsze spieszących mi na pomoc.

— Są na twoje zawołanie, — rzekł Kaleb. — Więcej są one twoje, niż moje; gotowe ci służyć

każdej chwili. Co oczy twe mają dla ciebie uczynić, kochanie?

— Rozejrzeć się po pokoju, ojcze.

— Już to zrobiły, — odrzekł Kaleb.

— Więc opowiadaj mi, co widziały.

— Wygląda jak zwykle, — rzekł Kaleb. — Pokoik bardzo skromny, ale niezmiernie miły. Na ścianach barwne malowidło; talerze i miski w kwiaty, półki jasno politurowane, a wdzięk i schludność czynią z naszego mieszkania istne cacko.

Tak, wdzięczne i schludne było wszystko, do czegokolwiek zabrały się pracowite ręce Berty. Ale nie wszystko mogły one przetworzyć w starej zapadłej budzie, którą fantazja Kaleba całkowicie przeobraziła.

— Masz teraz na sobie swą bluzę roboczą i nie wyglądasz tak strojnie, jak w tym nowym płaszczu? — spytała Berta, dotykając jego ramienia.

— Nie tak strojnie, — odparł, — ale całkiem porządnie.

— Ojcze, — rzekła ślepa dziewczyna, tuląc się doń i obejmując go za szyję. — Opowiadaj mi o May. Ona jest zapewne bardzo ładna?

— Tak, jest ładna, — potwierdził. I istotnie tak było. W tym rzadko zdarzającym się wypadku Kaleb nie potrzebował zmyślać.

— Ma włosy ciemne, — mówiła Berta w zamyśleniu, — ciemniejsze od moich. A głos dźwięczny i melodyjny, bo nieraz z przyjemnością go słuchałam. Postać ma...

— Żadna lalka w magazynie nie może się z nią równać, — dokończył Kaleb. — A oczy jej...

Urwał; Berta bowiem mocniej się doń przytuliła, a ramię, którym go obejmowała, tak silnie go opasało, że zrozumiał to ostrzeżenie.

Zaczął pokaszliwać, przez chwilę coś majstrował koło zabawki, po czym zanucił pieśń o pieniączym się szampanie, do której uciekał się w każdej kłopotliwej sytuacji.

— Ojczy, a teraz o naszym przyjacielu i dobroczyńcy. Wiesz, że nigdy mi się nie sprzykrzy słuchać o nim. Powiedz, czy kiedykolwiek się tym znużyłam? — mówiła gorączkowo.

— Nie, nigdy, — odparł Kaleb, — i miałaś słusność.

— Och! I jak bardzo miałam słusność! — zawołała z tak serdecznym ciepłem, że Kaleb, mimo swych czystych, szlachetnych pobudek, nie mógł się jednak zdobyć na to, by jej spojrzeć w twarz. Spuścił oczy, jak gdyby się obawiał, by swymi niewidomymi źrenicami nie wyczytała w nich jego niewinnego kłamstwa.

— Więc mów mi jeszcze o nim, kochany ojczy! — prosiła. — Mów mi o nim dużo, dużo! Twarz ma łagodną, dobrotliwą, o serdecznym wyrazie. A przy tym uczciwą i szlachetną. Dzielne serce, dobroć swą i wspaniałomyślność kryjąc pod maską szorstkości i nieprzystępności, przejawia się w każdym jego spojrzeniu, w każdym wyrazie twarzy.

— I uszlachetnia ją, — uzupełnił Kaleb w głuchej rozpaczy.

— I uszlachetnia ją! — wykrzyknęła ślepa. — Ojczy, on jest starszy od May, prawda?

— Ta-ak, — wahajaco odparł Kaleb. — Jest trochę od niej starszy. Ale to przecież nic nie znaczy.

— Owszem, ojczel! Bo widzisz, ona będzie mogła być jego cierpliwą towarzyszką, gdy będzie stary i słaby; będzie łagodną jego pielęgniarką, gdy zachoruje, oddaną przyjaciółką w doli i niedoli; wszystko dla niego uczyni chętnie; będzie przy nim czuwać i siedzieć przy jego łóżku, i mówić z nim, gdy się zbudzi, i modlić się za niego, gdy będzie spał. Widzisz, że będzie miała ogromne przywileje! Tyle sposobności do okazania mu swej miłości i przywiązania! Przecież ona to wszystko dla niego uczyni, prawda ojczel?

— Bez wątpienia, — rzekł Kaleb.

— Ojczel, ja ją kocham; mogę ją kochać całą duszą! — zawołała ślepą dziewczyna. Przy tych słowach położyła swą biedną, ślepą twarz na ramieniu ojca i rozplakała się rzewnie, że go niemal bolało, iż jej zgotował to bolesne szczęście.

U Peerybinglów tymczasem panowała ogromna krzątanina, gdyż mała kobietka ani przez chwilę nie zamierzała wyjść bez swego dzieciątka, a przygotowanie niemowlęcia do podróży wymagało sporo czasu. Nie można było tego przypuszczać, sądząc podług jego miary i wagi; niemniej było koło niego mnóstwo roboty, a wszystko to należało wykonać powoli i kolejno. A gdy nareszcie z biedą i trudem ubrano je o tyle, że, podług ludzkich obliczeń, niewiele już brakowało do uzupełnienia toalety i zrobienia z niego nowotodka „pierwszej klasy”, śmiało mogącego się mierzyć z całym światem — nagle, niespodzianie cały jego blask zgasł pod fanielową

czapeczką tak, że musiano je włożyć do łóżka, gdzie pod dwoma kocami musiało się — delikatnie mówiąc — prażyć przez calusienką godzinę. Wyrwany z tego stanu bezczynności, malec, świecący i rumiały jak skrawek, wyjął przy tym ze wszech sił, zabrał się do posiłku. Po czym znów zasnął. Z tej przerwy skorzystała pani Peerybingle, by, odpowiednio do swych skromnych stosunków, wystroić się tak pięknie, że niełatwo byłoby jej sprostać. Tilly podczas tego krótkiego zawieszenia broni również wsunęła się w zakątek, tak dziwnego i nieokreślonego wyglądu, że strój ten, zgoła dla niej nieodpowiedni, nie dałby się porównać z niczym na świecie, lecz jako dziwaczna niemożliwa pokraka, z niczym nie pozostająca w związku, odbywał samotną pielgrzymkę po tym ziemskim padole wiedzy. Malec tymczasem znów się obudził, żwawy i wesolutki. Dzięki zjednoczonym wysiłkom matki i niańki, znalazł się na koniec w kremowym płaszczyku i czapeczce kształtu pasztetu; i tak wszyscy troje wyszli na podwórze, następnie na drogę, gdzie stary koń niecierpliwymi autografami rozgrzebał ulicę, przysparzając zarządowi dróg co najmniej dwa razy tyle kosztów, ile jego właściciel uścił tytułem opłaty gminnej. W pewnej odległości zjawił się też Bokser. Spojrzał na wehikuł i odpowiednim ruchem zachęcił konia do ruszenia z miejsca, zanim jeszcze wóznica dał znak.

Ktoby był sądził, że malej pani Peerybingle trzeba będzie podstawić stołek do wsiadania, to dałby tylko dowód, że nie zna naszego Johna. Taki sprzęt był najzupełniej zbyteczny, bo zanim można było pomyśleć o czymś podobnym, podniósł żonę

i usadowił ją na siedzeniu, a ona, wdzięczna i rumiana, zaledwie miała czas zawołać: — Johnie! Co ty robisz! Tilly nie powinna patrzeć na coś podobnego! — a koń pomknął już drogą.

Gdyby w ogóle wolno tu było mówić o nogach młodych dam, to zanaczyłbym, że nogi panny Tilly miały tę fatalną właściwość, iż przy każdej sposobności okrywały się guzami i ranami. Wchodząc na jakiegokolwiek schody, lub schodząc z nich, otrzymywała zawsze pamiątkę w postaci sińca lub krwawej pręgi, którymi znaczyła wszystkie swe przedsięwzięcia, niby Robinson dni pobytu na odludnej wyspie. Że nie należy jednak do dobrego tonu rozprawić o nogach kobiecych, więc wolę tematu tego nie poruszać.

— Johnie, czy zabrałeś kosz z pieczenią cielecą, wieprzowym pasztetem i piwem? — zapytała Dot. — Jeśli go zapomniałeś zabrać, to musisz w tej chwili wrócić do domu.

— Dobra sobie! — rzekł John. — Wyjechałem przez nią o kwadrans później niż należało, a teraz mówi mi jeszcze o wracaniu.

— Bardzo mi przykro, Johnie, — pytlowała Dot, — ale sam przyznasz, że nie mogłabym jechać do Berty bez cielecej pieczeni, wieprzowego pasztetu, piwa i wszystkich tych rzeczy. To wykluczone. Prrrr!

To „prrrr!” skierowane było do konia, który jednak najmniejszej na to nie zwrócił uwagi.

— Johnie, powiedzże ty: prrrr! — rzekła Dot. — Proszę, bardzo proszę!

— Na to jeszcze dość czasu, — odparł woźnica.

— Musiałbym wprawdzie coś zapomnieć. Tymczasem kosz z zapasami stoi na wozie, cały i nieuszkodzony.

— Och, jaki z siebie potwór bez sercal! Czemu mi tego nie powiedziałaś od razu, zamiast mnie tak przestraszać! Jeszcze raz ci powiadam, że bez cieplej pieczeni, wieprzowego pasztetu, piwa i tego wszystkiego, nie pojechałabym do Berty za nic w świecie. Odkąd się pobraliśmy, urządzamy sobie u nich co dwa tygodnie taki miły piknik. Gdyby się dziś nie udał, uważałabym to za zły znak, wróżący nam może koniec naszego szczęścia.

— Przede wszystkim był to pomysł przyjemny dla obydwóch stron, — rzekł woźnica, — i przynosi ci też prawdziwy zaszczyt, moja mała.

— Kochany Johnie, — żywo odparła żona, — nie mów takich rzeczy!

— Ale wiesz, — począł znowu, — ten stary jegomość...

Pani Peerybingle w jednej chwili zmieszana się całkiem wyraźnie.

— Dziwna jakaś figura, — mówił dalej woźnica, patrząc przed siebie. — Nie mogę wymiarować, co to za człowiek, ale zły chyba nie jest.

— Nie! jestem tego pewna.

— Tak, — rzekł woźnica, którego to jej gorące zapewnienie tak zdumiało, że, patrząc jej w oczy rzekł: — Ciesz się, że jesteś tego tak pewna, bo i mnie to uspokaja. Dziwne jednak, że mu strzeżliło do głowy zamieszkać u nas, prawda? Tak, dziwnie się to złożyło!

— Bardzo dziwnie! — potwierdziła cicho, prawie niedostrzeczalnie.

— Ale robi wrażenie ucziwego człowieka, — mówił John — i płaci przyzwoicie; a zdaje mi się też, że można do niego mieć zaufanie. Dziś rano gawędziłem z nim dość długo. Powiedział, że teraz słyszy już znacznie lepiej co mówię, bo przyzwyczaił się do mego głosu. Opowiedział mi dużo o sobie, a ja mu znów o sobie dużo opowiadałem; przy tym zadawał mi mnóstwo pytań. Powiedziałem mu, że rozwozę pocztę w dwóch kierunkach; raz na prawo od naszego domu i na powrót, a potem znów na lewo, tam i z powrotem. Musiałem mu to tłumaczyć, bo jako obcy nie zna przecież nazw tutejszych miejscowości. To zdawało go się bawić. — Ach! — rzekł, — w takim razie będziemy dziś wieczór wracać tą samą drogą, a sądziłem, że pan jedzie w całkiem innym kierunku. To doskonale; mogę więc prosić, by mnie pan znów zabrał na swój wóz, ale zapewniam, że tym razem nie zasnę już tak mocno. Bo też spał wtedy jak kamień! Dot, nad czym tak się zadumałaś głęboko?

— Nad czym się zadumałam?... Słucham, co mówisz.

— Ach tak! Naturalnie! — rzekł dobroduszenie. — Spojrzawszy na ciebie, zatrwożyłem się, że może cię znudziłem moją gadaniną i zamyśliłaś się nad czym innym. Niewiele brakowało, a byłbym tak pomyślał.

Dot nic nie odpowiedziała i przez chwilę jechali w milczeniu. Trudno jednak było milczeć przez dłuższy czas na wozie Johna Peerybingle, gdyż z każdym przechodniem trzeba było zamienić parę słów, a bodaj tylko: „jak się macie?” Ale nawet to pozdrowienie, jeśli miało być odwzajemnione ser-

decznie, wymagało nietylko skinienia głową i uśmiechu, lecz ponadto nielada wysiłku płuc, niby przydługa mowa w parlamencie. Nieraz znajomi szli lub konno jechali koło wozu, aby trochę pogawędzić. A obydwie strony miały sobie dość do powiedzenia.

Także Bokser spowodował niejedno przywitanie z woźnicą, gdyż pies ten znany był całemu światu kur i świń. Widząc, że nadbiega, z uszami nadstawionymi niby szpicel, z kusym ogonem, zadartym z niesłychanej brawurą, czym prędzej znikwały one z widowni, nie czekając na zaszczyt zawarcia z nim bliższej znajomości. Bokser zaś miał wszędzie coś do załatwienia; musiał zwiedzić wszystkie zaułki i ślepe uliczki, zajrzeć do wszystkich studzien i domów, wpaść do wszystkich zajeżdżów, spłoszyć wszystkie gołębie i wstąpić do każdej gospody, niby stały gość. A gdziekolwiek się pojawił, wszędzie witano go okrzykiem: „Bokser!” poczem wychodził ten i ów, czasem kilku od razu, by się przywitać z Johnem i jego śliczną żoną.

Pakunków było mnóstwo, często więc zatrzymywano się, by je zabrać lub oddać, ale to nie psuło wcale przyjemności jazdy. Niektórzy z największą niecierpliwością oczekiwali przesyłek, inni nie mogli wyjść ze zdumienia, że coś otrzymują, a jeszcze inni udzielali woźnicy mnóstwo przestroąg, w związku z ich pakunkami, John zaś okazywał wszystkim najwyższe zainteresowanie. Jednym słowem, wszystko odbywało się bardzo żywo, jak w komedii.

Zdarzało się też, że niektóre przesyłki wymagały specjalnej narady co do opakowania i umieszczenia. W tych naradach między woźnicą a wysyłającymi, brał też udział Bokser, w najwyższym

wzburzeniu biegając dokoła naradzających się i szczerkając aż do ochrypnięcia.

Wszystkim tym drobnym wydarzeniom Dot przyglądała się i przysłuchiwała ze swego siedzenia z ogromnym rozbawieniem; a gdy siedziała, zapatrzona i zasłuchana — śliczny obrazek na tle wozu, osłoniętego żaglowym płótnem — stojący obok zwracali sobie nawzajem uwagę na ładną kobietkę, zwłaszcza zaś młodzi mężczyźni omal nie pękali z zazdrości. To znów wprawiało w zachwyt woźnicę, który był dumny, że podziwiają jego żonę. Wiedział przecież, że ją to wcale nie gniewa, przeciwnie, sprawia jej nawet pewną przyjemność.

Powietrze styczniowe było wprawdzie ostre i zimne, ale któżby się troszczył o takie drobnostki? Dot w każdym razie nic sobie z tego nie robiła; Tilly również nie, gdyż jazda na wozie oznaczała dla niej szczyt ludzkiego szczęścia, koronę ziemskich pragnień. A przysięgam uroczyście, że niemowlę również sobie nic nie robiło z przerw w jeździe; bo chociaż wszystkie dzieci, szczelnie otulone, doskonale śpią na świeżym powietrzu, to z całą pewnością żadne nie mogłoby się pod tym względem mierzyć z małym Peerybinglem.

Oczywista, z powodu mgły niewiele można było zobaczyć. Ale coś jednak dało się rozróżnić. Wprost nie do uwierzenia, ile można zobaczyć nawet mimo gęstej mgły, o ile tylko ktoś chce sobie zadać trud patrzenia. Widok korowodu pól, uperłonych szronem, był wprost czarujący, nie mówiąc już o fantastycznych kształtach drzew, nagle się wyłaniających z mgieł i znów znikających. Żywopłoty stały nagie i postrzępione, kołysząc na wietrze swe mrozem

zwarzone girlandy. To jednak nie psuło wesołego nastroju; przeciwnie, pobudzało jeszcze do przyjemnych marzeń o ciepłym domowym ognisku i przyszyłym pięknym lecie. Od rzeki wiał przejmujący chłód, choć nie była jeszcze zamrznięta; płynęła nawet wcale rażno, a to już wiele znaczy. Bo kanał był co prawda trochę nazbyt leniwy i posepny, ale i w tym nie ma nic złego. Tym prędzej zamarznie i będzie się można ślizgać i saneczkować; a ciężkie stare barki, skowane lodem w pobliżu jakiejś przystani, całymi dniami dymić będą ze swych zardzewiałych pieców, wypoczywając do woli.

W pewnym miejscu, opodal drogi, gorzała kupa nagromadzonej suchej trawy i rżyska; jadący przyglądali się ogniowi, tak białemu przy świetle dziennym, czerwoną smugą błyskającemu tu i ówdzie poprzez mgły. Nagle Tilly zaczęła się dławić dymem — co zdarzało się jej przy lada sposobności — i obudziła niemowlę, które już nie chciało zasnąć ponownie. Ale Bokser, wyprzedzając ich zawsze o ćwierć mili, wydostał się już poza obręb miasta i dobiegł do rogu ulicy, gdzie mieszkał Kaleb z Bertą; to też na dobrą chwilę przed przyjazdem gości, ojciec ze swą ślepą córką stali na ulicy, aby ich przywitać.

Nawiasem mówiąc, Bokser wynalazł sobie pewne sposoby porozumiewania się z Bertą, co mnie przekonywa, że wiedział, iż jest ślepa. Nigdy nie próbował zwrócić jej uwagi spojrzeniami, jak to czynił z innymi ludźmi, lecz za każdym razem dotykał jej nosem. Jakie mógł mieć doświadczenie z ślepyimi ludźmi, lub ślepyimi psami, o tym mi niewiadomo. Nigdy jeszcze nie służył ślepemu panu; ani jego

ojciec, ani matka, ani nikt z szanownej jego rodziny nie był — o ile mi wiadomo — dotknięty ślepotą. Może instynktownie odgadł kalectwo dziewczyny, w każdym razie wiedział o nim i dlatego zębami trzymał Bertę za fartuszek, dopóki pani Peerybingle, niemowlę i Tilly nie weszli szczęśliwie do mieszkania.

May Fielding wprawdzie już przysłała z matką — małą, gderliwą, wysuszoną starą kobietą o kwaśnej twarzy, która, zachowawszy figurę smukłą i prostą jak słup, uważała się za coś nadzwyczajnego. — Amiętała ona lepsze dni i ciągle sobie wyobrażała, że mogłoby się jej powodzić znacznie lepiej, gdyby się było stało coś, co się nigdy nie stało i nigdy też nie leżało w zakresie jej możliwości. Tak czy owak, lubiła pozować na wielką damę, zniżając się do swego otoczenia. „Gruff i Tackleton” również był tu już i silił się na uprzejmość. Ale na pierwszy rzut oka można było poznać, że w tym obcym dla siebie żywiole czuje się tak dobrze, jak nie przymerzając łosóś na szczycie piramidy.

— May! Moja kochana! — zawołała Dot, biegnąc ku niej. — Jakże się cieszę, że cię mogę widzieć.

Jej przyjaciółka była równie serdeczna i uradowana, i wiercie mi, że przyjemnie było patrzeć, jak się ścisnęły i całowały. Tackleton miał dobry gust, to mu należy przyznać. May była bowiem bardzo ładna.

Gdy się przyzwyczajamy do jakiejś pięknej twarzy, wówczas, porównyując ją z inną piękną twarzą, wydaje się nam ona nagle zwyczajną, niewiele mówiącą, prawie nie zasługującą na poprzednie wysokie wyobrażenie. Ale w tym wypadku nic po-

dobnego nie nastąpiło, gdyż May obok Dot, a Dot obok May wyglądały tak czarująco, że niewiele brakowało, a John Peerybingle, który wszedł właśnie do pokoju, byłby powiedział, iż wyglądają jak siostry. Istotnie, tego jednego chyba brakowało, by ich urodzie, o ile to wogóle było możliwe, przydać jeszcze więcej wdzięku.

Tackleton przywiózł pieczeń baranią i — o dziwo! — jeszcze tort; ale na małą rozrzutność dla narzeczonej można sobie pozwolić. Nie codziennie się przecież człowiek żeni. Oprócz tych smakołyków była jeszcze pieczeń cielęca, paszтет wieprzowy i inne rzeczy, jak to pani Peerybingle określała, orzechy, pomarańcze, ciastka i różne łakocie, które przywozła. Gdy nakryto stół, a do wymienionych potraw przyłączył się jeszcze dodatek Kaleba, w postaci dużej drewnianej misy, pełnej gorących kartofli — na mocy solennej umowy nie wolno mu było przyczyniać się innym darem do wspólnej uczy — Tackleton poprowadził przyszlą swą teściową na honorowe miejsce. Aby miejsce to zająć z należytą majestatyczną godnością, matrona ta wystroiła się w czepek, który swymi imponującymi rozmiarami budzić miał świętą trwogę u bezmyślnej młodzieży. A w dodatku miała na rękach rękawiczki! Tak jest! Tego wymagało jej poczucie własnej godności.

Kaleb siedział obok swej córki. Dot i dawna jej koleżanka zajęły miejsca obok siebie, a pocziwy woźnica usadowił się na końcu stołu. Tilly odgrodzono od wszelkiego sprzętu, prócz krzesła, na którym siedziała, aby nie mogła o cokolwiek trącić główką dziecka.

Wybałuszonymi oczyma wpatrywała się w lalki

i zabawki, a lalki i zabawki wpatrywały się w nią i resztę towarzystwa. Czcigodni staruszkowie, którzy przed drzwiami swych domków koziółkowali z ogromnym zapałem, byli, zdawało się, żywo zajęci grupką wieśniaków, gdyż od czasu do czasu przerywali swe gimnastyczne ćwiczenia, jak gdyby się przysłuchiwali rozmowie, poczem znów skakali bez wytchnienia, nie posiadając się widać z zachwytu nad towarzystwem.

Jeśli starzy ci panowie odczuwali złośliwą przyjemność na widok złego humoru Tackletona, to dziś mieli dostateczny powód do zadowolenia. Tackleton był bowiem mocno rozdrażniony, a im jego narzeczona stawała się weselszą w towarzystwie Dot, tym bardziej się irytował, jakkolwiek sam przecież ułatwił im to spotkanie. Bo Tackleton był zgryźliwym żółciowcem i gdy one się śmiały, a on nie mógł się przyłączyć do ich wesołości, od razu przychodziło mu na myśl, że z niego się naśmiewają.

— Ach, May! — mówiła Dot, — jakże wszystko ułożyło się inaczej! Gdy się tak wspomina wesołe lata szkolne, człowiek czuje się jakby odmłodzony!

— Chyba i tak nie jest pani zbyt stara? — zauważył Tackleton.

— Proszę spojrzeć na mego spokojnego, zadumanego męża, — odpowiedziała Dot. — On czyni mnie przynajmniej o dwadzieścia lat starszą. Prawda, Johnie?

— O czterdzieści, — rzekł John.

-- Ile lat doda pan mojej kochanej May, tego doprawdy nie potrafiabym powiedzieć; — rzekła Dot ze śmiechem; -- myślę jednak, że w najbliższe swe urodziny będzie liczyć niemal sto lat.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Tackleton, ale śmiech jego brzmiał bezdźwięcznie, niby pęknięte naczynie. A śmiał się tak, jak gdyby z największą przyjemnością chciał małej Dot skrócić kark.

— Ach, Boże drogi! — rzekła Dot, — gdy sobie przypomnę, o jakich to narzeczonych marziliśmy w szkole! Mój miał być śliczny jak lalka, i młody, i wesoły! A twój, May, ach, lepiej nie wspominać! Bo nie wiem doprawdy, czy mam się śmiać czy płakać, gdy pomyślę, jakie to znas były naiwne gąski!

May istotnie nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Gorący rumieniec oblał jej twarz, a oczy napęliły się łzami.

— Czasem umawialiśmy się nawet, którego z młodych chłopców dostanę ja, a którego ona, — mówiła Dot. — Nie śniło nam się wtedy, jak to będzie naprawdę. Mnie w każdym razie ani przez myśl nie przeszło, że wyjdę za tego oto Johna. May, a gdybym była powiedziała tobie, że zostaniesz kiedyś żoną Tackletona, to pewna jestem, że nie byłoby mi to uszło na sucho. May, czyż nie?

May wprawdzie nie potwierdziła, ale też nie zaprzeczyła.

Tackleton zaśmiał się hałaśliwie, John również się zaśmiał dobrodusznie, pocziwie. Ale jego śmiech był niby szept dyskretny w porównaniu z hucznym śmiechem Tackletona.

— I wszystko na nic się nie przydało. Nie potrafiłyście się nam oprzeć, — rzekł Tackleton. — Teraz my panami. A gdzie się podzieli wasi młodzi wielbiciele?

— Niektórzy umarli, — rzekła Dot, — a o nie-

których zapomniano. Niektórzy — gdyby tu byli obecni — nie uwierzyliby po prostu, że to my jesteśmy, że to, co by tu zobaczyli i usłyszeli, jest prawdą. Nie uwierzyliby, że tak już całkiem zapomnieliśmy o nich. Niel Uważaliby to za coś nieprawdopodobnego.

— Ależ Dot! — wykrzyknął woźnica. — Zonczko!

Mówiła z takim przejęciem i zapałem, że niewątpliwie należało ją trochę zmitygować, by się nie posunęła zbyt daleko. A w najdelikatniejszy sposób uczynił to właśnie mąż swym łagodnym wykrzykiem, przy czym chodziło mu jedynie o zaoszczędzenie przykrości staremu Tackletonowi. I słowa jego odniosły skutek, gdyż żona jego od razu zamilkła. Ale także z jej milczenia przebijało niezwykle wzburzenie, co Tackleton zauważył swym na wpół przymrużonym okiem i, w pewnym z góry ułożonym zamiarze, zachował w swej pamięci.

May nie rzekła ani słowa, ani dobrego, ani złego. Siedziała milcząca, ze spuszczonej oczyma, jakby nie brała prawie udziału w tym, co się koło niej działo. Natomiast wmieszała się do rozmowy jej matka i zauważyła, że młode dziewczęta, jak młode dziewczęta, a co minęło, to minęło; i dopóki młodzi jest młoda i bezmyślna, zawsze będzie się prawdopodobnie zachowywać jak ludzie młodzi i bezmyślni. Po paru jeszcze uwagach, niemniej głębokich i pełnych nieodpartej mądrości, rzekła tonem bardzo uległym, że dziękuje niebu, iż córka jej, May, była dotąd zawsze dzieckiem postusznym, pełnym poczucia obowiązku, z czego ona, jako matka,

wcale nie jest dumną, jakkolwiek ma powód wie-
rzyć, że jest to wyłączną jej zasługą. Co się tyczy
pana Tackletona, to z moralnego punktu widzenia,
jest on charakterem nie podlegającym krytyce,
a przy tym takim zięciem, że każdy, kto ma pięć
zdrowych zmysłów, powinien sobie wszystkie palce
oblizać. Po tym hymnie pochwalnym rozgadała się
na dobre. Co się tyczy rodziny, której członkiem ma
on wreszcie zostać, co do czego dość długo utrzy-
mywano go w niepewności, to pan Tackleton wie
bardzo dobrze, że rodzina ta podupadła wprawdzie
majątkowo, mimo to jednak dumną być może ze
swego rodowodu. Gdyby pewne okoliczności, doty-
czące handlu indygiem, czego jednak nie chce bliżej
wyłuszczać, były się ukształtowały korzystniej, to
rodzina ta mogłaby nawet być bardzo bogatą. Na-
stępnie zauważyła, że córka jej przez długi czas się
opierała, nie chcąc przyjąć pana Tackletona, nie
życzy sobie jednak mówić o tych rzeczach, ani
o wielu innych; mimo tego zapewnienia, powie-
działa wszystko, co jej przyszło właśnie na myśl.
Na ostatku, powołując się na własne doświadczenie
i obserwację, oświadczyła, że właśnie te małżeń-
stwa, w których humbug, określony głupim roman-
tycznym słowem: miłość, bardzo małą odgrywa rolę,
są właśnie najszczęśliwsze. Dlatego też i w tym wy-
padku spodziewa się, że niedaleki związek małżeń-
ski da jej córce i zięciowi prawdziwe szczęście —
nie to szczęście przesadne, sentymentalne, ale so-
lidne i trwałe. Zakończyła uroczystym zapewnie-
niem, że jutrzejszy dzień jest dniem będącym celem
jej życia; a gdy dzień ten minie, ona nie życzy sobie
nic innego, jak tego tylko, by ją opakowano i od-

wieziono na jakie dostojne miejsce wiecznego spoczynku.

Na uwagi te nie można było nic odpowiedzieć, jak na wszelkie tego rodzaju uwagi, odbiegające od istoty rzeczy. To też rozmowa przeszła na inny przedmiot, skupiając ogólną uwagę na pieczeni cielej i wieprzowym pasztecie oraz zimnej barani- nie, kartoflach i torcie. Chcąc zaś zachęcić do piwa, John Peerybingle wychylił szklanicę na cześć jutrzejszego dnia, zapraszając współbiesiadników, by poszli za jego przykładem, zanim będzie musiał ruszyć w dalszą drogę.

Bo trzeba wiedzieć, że pozwolił on sobie tylko na krótki odpoczynek, podczas którego koń jego krzepił się obrokiem. Musiał bowiem jechać jeszcze jakie pięć mil dalej, a wstępując wieczorem po Dot, będzie mógł zabawić jeszcze z godzinkę na wizycie. Taki był program wszystkich pikników stale przestrzegany od czasu ich zaprowadzenia.

Oprócz narzeczonych były jeszcze dwie osoby, które nie wychyliły toastu Johna. Jedną z nich była Dot, zbyt zmieszana i niespokojna, by w tym usposobieniu mogła zwracać uwagę na drobnostki; drugą zaś była Berta, która szybko wstała od stołu i odeszła na bok.

— Bywajcie zdrowi! — rzekł barczysty John Peerybingle, wkładając swój ciepły płaszcz. — Wróć tu, jak zwykle. Do widzenia!

— Do widzenia, Johnie! — odrzekł Kaleb.

Powiedział to całkiem bezwiednie i tak samo też bezwiednie skinął mu ręką na pożegnanie, gdyż cała jego uwaga skupiona była na Bercie, której przyglądał się z wyrazem niesłabnącego zdumienia.

— Bywaj zdrów, mały zuchu, — rzekł woźnica, całując dziecko, które Tilly, z wielkim zapalem wymachująca teraz widelcem i nożem, ułożyła na łóżku, przygotowanym przez Bertę, i — wierzcie mi, lub nie wierzcie — nie uderzyła niemowlęcia o żaden ostry kant. — Bywaj zdrów, maleńki! Przyjdzie czas, maleńki, kiedy ty będziesz musiał wyjechać w taki mroźny dzień, a stary twój ojciec będzie się wygrzewał przy kominku, paląc fajkę i skarżąc się na reumatyzm. Nieprawdaż, mały przyjacielu? Ale gdzie jest Dot?

— Tu jestem, Johniel — zawołała, zrywając się.

— Chodź, mała! — zawołał woźnica, klaszcząc w ręce. — A gdzie fajeczka?

— Ach, Johnie, zapomniałam.

— Zapomniałaś o fajeczce! Czy kto słyszał coś tak niebywałego? Moja Dot — zapomniała o fajeczce!

— Ja... ja ci ją zaraz nałożę... bardzo prędko.

Ale nie zrobiła tego zbyt prędko. Fajka tkwiła jak zwykle w kieszeni jego płaszcza, obok woreczka ręcznej roboty, napełnionego tytoniem; ale ręka jej, dość przecież mała, by z łatwością wsunęła się do kieszeni, drżała tak gwałtownie, że wszystko robiła na opak. Nakładanie i zapalanie fajeczki — drobne te czynności, w których, jak już wiadomo, było po prostu mistrzynią — dziś, od początku do końca, szły jej wprost niezdarnie. Przez cały ten czas Tackleton przyglądał się jej złośliwie swym na wpół przymrużonym okiem; a ilekroć Dot spotykała się z tym złym okiem, lub raczej pozwoliła się przez nie usidlić — bo nie można było właściwie powiedzieć o spojrzeniu Tackletona, że spotyka się z in-

nym spojrzeniem, gdyż przypominało ono raczej pułapkę, triumfującą, że się jej udał połów — otóż ilekroć Dot spotkała się z tym jego spojrzeniem, zmieszanie jej potęgowało się całkiem widocznie.

— Dot, co się z tobą dzieje? Jesteś dziś tak niezgrabna, że ja sam bym to lepiej zrobił! — rzekł John.

Po tej dobrodusznej uwadze wyszedł, a za chwilę słychać było, jak z Bokserem, starym koniem i turkoczącym wozem wyjeżdżał na ulicę. Przez cały ten czas zamyślony Kaleb z tym samym wyrazem głębokiego zdumienia wpatrywał się w swą ślepą córkę.

— Berto! — zwrócił się do niej przyciszonym głosem, — co ci się stało? W ciągu paru godzin zupełnie się zmieniłaś. Od rana jesteś jakby nie ta sama. Milcząca i posepna przez cały dzień! Dziecko drogie, co ci się stało? Powiedz mi!

— Ach ojcze, ojczel — zawołała, wybuchając płaczem. — Jakże ciężki jest mój los, jak strasznie ciężki!

— Ależ dziecko, pomyśl, jaka byłaś dotąd wesoła i szczęśliwa! Jak cię ludzie kochali, że jesteś tak dobra i miła!

— Ojcze drogi, to mnie właśnie tak boli! Tak się zawsze o mnie starano, taką mnie otaczano opieką!

Ku wielkiemu swemu utrapieniu, Kaleb nie rozumiał, co jej właściwie dolega.

— Tak, moje drogie, biedne dziecko, — mamrotał. — Takie kalectwo jest wielkim nieszczęściem, ale...

— Ja tego nigdy nie odczuwałam! — zawołała ślepa. — Nigdy tego nie odczuwałam w pełnej mierze. Nigdy! Czasem pragnęłam zobaczyć ciebie, ojciec... albo jego... jeden jedyny raz... abym widziała jaki skarb noszę w sercu, — przycisnęła ręce do piersi, — i wiernie go umiała zachować. Abym się przekonała, że nie wyobrażam sobie nic niezgodnego z prawdą. Czasem też — ale wtedy byłam jeszcze dzieckiem — płakałam, odmawiając pacierz wieczorny, i myślałam, że, modląc się za was, może sobie was wyobrażam innymi, niż jesteście. Ale uczucia te niedługo mnie męczyły. Rychło mijały, i znów byłam spokojna i zadowolona.

— I znów nią będziesz, — rzekł Kaleb.

— Ojciec! Mój dobry, kochany ojciec, bądź cierpliwy, jeśli jestem teraz zła i niewdzięczna, — błagała. — Inna mnie teraz gnębi troska.

Kalebowi łzy spływały z oczu, gdy słuchał jej poważnych, patetycznych słów. Ale wciąż jeszcze nie rozumiał o co jej chodzi.

— Przyprowadź ją do mnie, — prosiła — nie umiem tego zamknąć w sobie. Ojciec, proszę, przyprowadź ją do mnie.

Wyczuła jego wahanie i dodała: — Przyprowadź do mnie May Fielding.

May, usłyszawszy swe imię, podeszła spokojnie do Berty i dotknęła jej ramienia. Ślepa natychmiast się odwróciła i ujęła ją za obie ręce.

— Spójrz na mnie, drogie serce! — rzekła Berta — Czytaj w mej twarzy twymi pięknymi oczyma i powiedz, czy wypisana na niej prawda

— Tak, kochana Berto.

Slepa wciąż jeszcze podnosiła ku niej swe niewidzące oczy, z których szybko płynęły łzy i rzekła:
— W duszy mej, kochana, piękna May, nie ma ani jednej myśli, któraby ci nie życzyła szczęścia! Ze wszystkich wdzięcznych wspomnień najgoręcej przechowuję w sercu pamięć tych niezliczonych wypadków, kiedy ty, piękna i widząca, zajmowałaś się ślepą Bertą i opiekowałaś się nią już wtedy, kiedy obydwie byliśmy jeszcze dziećmi, a właściwie, kiedy Berta była dzieckiem o tyle, o ile ślepa nim być może! Niech na życie twe spłynie wszelkie błogosławieństwo nieba! Niech jasną będzie twoja droga! Tym bardziej, moja droga, kochana May, — tu jeszcze bardziej się zbliżyła do niej i mocniej uściśnęła jej rękę, — że dziś, moja ptaszyno, wiadomość, iż masz zostać jego żoną, omal nie złamała mi serca! Ojczy, May! Och, wybaczcie mi, wybaczcie, że tak jest, wybaczcie w imię tego wszystkiego, co dla mnie uczynił, by ulżyć mej niedoli; a jeśli mi jeszcze ufasz, May kochana, to świadczę się Bogiem, że nie mogłabym mu życzyć żadnej innej żony, któraby równie jak ty zasługiwała na tak łobrego, szlachetnego człowieka!

To rzekłszy, uwolniła rękę May ze swego uścisku i na wpół błagalnym, na wpół pieścizotliwym ruchem uczepliła się jej sukni. Pochylając się coraz niżej podczas tego dziwnego wyznania, osunęła się wreszcie do nóg przyjaciółki, w fałdach jej sukni kryjąc swą ślepa twarz.

— Wielki Boże! — wykrzyknął ojciec, w którego poznanie prawdy uderzyło jak grom z jasnego nieba. — Czy po to okłamywałem ją od kołyski, by jej na koniec złamać serce!

Szcześnie dla wszystkich, że w samą porę zjawiła się Dot, wesoła, żywa energiczna — bo była taką, mimo wszystkie swe błędy i mimo niechęci, jaką wkrótce do niej uczujecie — a więc, powtarzam, na szczęście dla wszystkich, zjawiła się Dot. Inaczej bowiem nie wiadomo, co by się było stało! Ale Dot odzyskała już przytomność umysłu i ujęła sprawę w swe ręce, zanim May zdołała odpowiedzieć i zanim Kaleb zdobył się na odpowiedź.

— Chodź, kochana Berto, chodź ze mną! May, podaj mi ramię. Tak! Widzisz, jak się zaraz uspakaja i jak jest posłuszna, — rzekła wesoło kobiątka, całując ją w czoło. — Chodź kochana, chodź. A twój dobry ojciec też pójdzie z nami; nieprawdaż, Kaleb? No, o-czy-wi-ście!

Mała Dot miała serce szlachetne i tylko człowiek zatwardziały zdołałby się jej oprzeć. Wyprowadziwszy Kaleba i jego córkę, by się wzajem pocięszali — wiedząc, że tylko im samym to się uda — przybiegła na powrót, wesoła jak sarna, należałoby powiedzieć podług utartego frazesu. Ja jednak powiem: jeszcze weselsza niż sarna, i od razu przysiadła się do zarozumiałej starej damy w ogromnym czepku i rękawiczkach, aby zajęta rozmową, nie dostrzegła tego czy tamtego.

— Tilly, podaj mi moje kochane maleństwo, — rzekła, siadając na krześle pod oknem; — a gdy będę je trzymać na kolanach, pani Fielding powie mi, jak się należy obchodzić z dziećmi, a z pewnością dowiem się wielu pożytecznych rzeczy. Przecież pani nie odmówi mi?

Fieldingowa od razu złapała się w tę podstępnie nastawioną pułapkę. Czuła się mocno dotknięta, że

Tackleton po prostu wyszedł sobie, a tamci przez dwie minuty mówili coś na uboczu pozostawiając ją samą. Powód wystarczający, by co najmniej na dwadzieścia cztery godziny cofnęła się w ślimaczą skorupę swej urażonej godności, i w myśli zaczęła zawodzić żałobne psalmy nad tajemniczym nieszczęściem, którego powodem był niedosłyż do skutku handel indygiem. Jednakowoż ten pochwalny apel młodej matki posiadał moc tak nieprzepartą, że po krótkich ceregielach zaczęła ją najłaskawiej oświecać i pouczać. Siedząc wyprostowana jak drut naprzeciw chytrej Dot, udzieliła jej w niespełna pół godziny takiego mnóstwa niezawodnych recept i przepisów, że gdyby je Dot była wszystkie zastosowała, młody potomek Peerybingłów musiałby umrzeć straszną śmiercią, nawet gdyby był przyszyłym Samsonem.

Podczas tego wykładu starej, Dot zajęta była ręczną robótką. Nie wiem w jaki sposób, ale fakt, że wszystkie potrzebne do tego przybory nosiła w kieszeni sukni. Następnie przez chwilę karmiła dziecko, a potem znów przez chwilę dziergała, a potem znów przez chwilę szeptała z May, gdy stara zdrzemnęła się; wśród tych co chwila przerywanych i różnorodnych zajęć — jak to było w jej zwyczaju — popołudnie wydało się jej zbyt krótkie. Zaczęło się już ściemniać, a ponieważ jeden z ważnych punktów tych układów piknikowych opiewał, iż ma ona za Bertę spełniać zajęcia gospodarskie, więc znów roznieciła ognisko, nakryła do herbaty, zapuściła stopy i zapaliła świece. Następnie zagrała parę piosenek na harfie, którą Kaleb sam zrobił był dla córki, a zagrała je bardzo ładnie. Natura obdarzyła

ją bowiem wrażliwym, zgrabnym uszkiem, umiejącym chwycić dźwięki, uszkiem, któreby tak samo umiało się było stroić w klejnoty, gdyby je Dot posiadała. Tymczasem nadeszła pora, kiedy podawano herbatę; Tackleton wrócił, by zjeść z nimi kolację i spędzić wieczór w ich towarzystwie.

Kaleb i Berta wrócili już przed chwilą. Kaleb zabrał się do swej roboty popołudniowej, która mu jednak nie szła, gdyż biedaczysko był strapiony i robił sobie wyrzuty z powodu córki. Wzruszający był widok, jak, siedząc przy swym warsztacie, ustawicznie spoglądał ku niej, pełen niepokoju. Na twarzy jego wciąż jeszcze można było wyczytać: „Czy po to ją okłamywałem od kołyski, by jej na koniec złamać serce!”

Gdy noc zapadła i wypito herbatę, a Dot pomyślała już talerze i filiżanki, jednym słowem — przecież muszę dojść do tego i nie ma sensu zwlekać — gdy zbliżała się pora, kiedy daleki turkot wozu mógł lada chwila zapowiedzieć powrót woźnicy, Dot dziwnie się zmieniła, na przemian czerwieniła, to bladła, przy tym ogarnął ją całkiem wyraźny niepokój. I to wcale nie ten niepokój, jaki ogarnia kochające żony, oczekujące męża. Nie, nie, nie. Był to niepokój całkiem inny.

Dał się słyszeć turkot wozu. Zadzwonily podkowy, ozwało się szczekanie psa. Głosy te zbliżały się z każdą chwilą. Na koniec Bokser zaczął drapać do drzwi.

— Czyje to kroki? — zawołała Berta, zrywając się raptownie.

— Czyje kroki? — odparł woźnica, stając we drzwiach, a śniada jego twarz płonęła purpurą —

tak gorąco zabarwił ją mroźny wiatr wieczorny. — Czyjeżby, jak nie moje?

— Ja mówię o krokach człowieka, idącego za panem, — rzekła Berta.

— Jej nie można wywieść w pole, — zauważył John. — Niechże pan wejdzie. Przyjmą pana życzliwie, o to jestem spokojny.

Mówił bardzo głośno, a zanim jeszcze skończył, głuchy stary pan wszedł do izby.

— Ty go już trochę znasz, Kalebie, — rzekł woźnica. — Użyczysz mu chyba na chwilę gościny, zanim ruszymy w drogę powrotną?

— Rozumie się, Johnie. Bardzo mi będzie przyjemnie.

— Jeśliby się miało do omawiania jakieś tajemnice, to byłby on najpożądańszym uczestnikiem, bo jest głuchy jak pień, — objaśnił John. — Ja mam chyba silne płuca, ale do niego muszę się jednak natężyć, aby słyszał, co mówię. Proszę, niech pan siada. Sami nasi dobrzy przyjaciele, którzy są panu radzi.

Wypowiedziawszy to zapewnienie głosem, w całej rozciągłości potwierdzającym powiedzenie o potężnych płucach, dodał tonem naturalnym: — Krzesło koło kominka, gdzie może usiąść i spokojnie się rozejrzeć — oto wszystko, czego żąda. Skromny starzec!

Berta przysłuchiwała się uważnie słowom woźnicy. Przywołała Kaleba, który ustawił właśnie krzesło dla starego pana i poprosiła go szeptem, by jej opisał nowego gościa. Gdy to uczynił — tym razem sumiennie trzymając się prawdy — westchnęła i przestała się zajmować osobą przybysza.

Woźnica był w doskonałym humorze i dobroduszenie żartował z żony, w której, zdawało się, był jeszcze bardziej zakochany niż zwykle.

— Jaka moja Dot była dziś niezgrabna! — rzekł, obejmując ramieniem drobną kobietkę, stojącą nieco na uboczu, — ale ja ją i tak kocham. Dot, spójrz na niego!

Spojrzeniem wskazał na starego jegomościa. Spuściła oczy. I, zdaje mi się nawet, że zaczęła drzeć.

— On... ha, ha, ha!... Jest tobą zachwycony! — śmiał się woźnica. — W ciągu całej drogi powrotniej mówił tylko o tobie: Kochany, stary pocztowiec! Na prawdę, polubiłem go za to.

— Wolałabym, by sobie był obrał lepszy temat rozmowy, — rzekła Dot, z pewnym niepokojem rozglądając się po pokoju, a zwłaszcza lękliwym spojrzeniem obejmując Tackletona.

— Lepszy temat! — wykrzyknął jowialnie. — Czyż może być lepszy temat! Chodź, maleńka! Precz z tymi ciężkimi śniegowcami! Teraz urządzimy sobie przyjemną zabawę przy kominku! Najuniżeńszy sługa pani Fielding: zagramy partyjkę, dobrze? Żoneczko, prędko karty i szklankę piwa, jeśli jeszcze coś dla mnie zostało.

Poprosił starą damę, która chętnie zgodziła się, i po chwili byli już całkowicie zatopieni w grze. Początkowo woźnica oglądał się od czasu do czasu, by spojrzeć na Dot, albo ją przywoływał, by mu radziła w ciężkich sytuacjach. Ale partnerka okazała się szczwaną karciarką, nie pozwalającą odstępować od obowiązujących reguł, przy tym miała słabość notowania na swą korzyść więcej punktów,

niż się jej należało. Wobec czego musiał jej patrzeć na palce i niebawem zapomniał o otoczeniu, całkowicie zajęty kartami. Aż nagle Tackleton dotknął jego ramienia, prosząc o chwilę rozmowy.

— Przykro mi, że panu przeszkadzam, ale mam tylko parę słów do powiedzenia.

— Ja właśnie wygrywam, — odparł woźnica, — a chodzi o kielbasę.

— To, co panu mam do powiedzenia, jest ważniejsze od kielbasy, — rzekł Tackleton. — Zrozumie, człowieku!

W jego bladej twarzy było coś takiego, że woźnica zerwał się na równe nogi, pytając, co się stało.

— Cicho, Johnie Peerybingle, — rzekł Tackleton. — Bardzo mi przykro i szczerze z panem współczuję. Proszę mi wierzyć. Ale od początku obawiałem się tego i miałem podejrzenia.

— Co się stało? — zapytał woźnica przerażony.

— Cicho! Chodź pan, a sam zobaczysz.

Nie mówiąc już nic, woźnica poszedł za nim. Wyszli na podwórze w gwiazdzistą noc i bocznymi drzwiami dostali się do kantoru Tackletona. Było tu wewnętrzne okno, przez które można było patrzeć do magazynu, nocną porą zamkniętego. W kantorze nie było światła, ale w długim, wąskim magazynie płonęły lampy, wskutek czego okno wewnętrzne było jasne.

— Jeszcze chwilę! — rzekł Tackleton. — Czy potrafi pan patrzeć przez to okno?

— Czemu nie?

— Jeszcze chwileczkę! — mruknął Tackleton.

— Niech się pan nie pozwoli pchnąć do czynu gwał-

townego. To niebezpiecznej! Przy swej sile Herkulesa gotów pan popełnić zbrodnię, zanim się opamiętasz.

Woznica spojrział mu w oczy i cofnął się o jeden krok, jak gdyby mu ktoś wymierzył policzek. Jedynym skokiem dopadł okna i zobaczył...

O, cieniu padający na ognisko domowej O, wierny, prawy świerszczu! O, niewierna, fałszywa żono!

Zobaczył ją obok starego pana, który nie był już starcem, lecz przystojnym, smukłym młodzieńcem. W ręce trzymał siwą perukę, przy pomocy której wśliznął się do jego tak nagle osamotnionego nieszczęsnego domostwa. Zobaczył, jak słuchała jego słów, jak on, pochyliwszy się, szeptał jej coś do ucha, jak objąwszy ją ramieniem, zwolna skierował się z nią ku drzwiom, którymi tu weszli. Teraz zobaczył jak przystanęli, jak jego Dot się obejrzała — och, ta twarz, ta twarz, którą kochał nade wszystko! — i własnymi rękami włożyła zdradziecką perukę na głowę obcego przybysza. Przy tym zaśmiała się... zaśmiała się ze swego głupiego męża, którego tak łatwo można wywieść w pole!

W pierwszej chwili zacisnął swą silną dławicę, jak gdyby się miał rzucić na lwa. Ale natychmiast otworzył pięść i wyprostował ją w oczach Teakletona, bo jeszcze i teraz kochał Dot nade wszystko. Gdy wyszli, opuścił głowę i padł na krzesło, bezsilny jak dziecko.

Po chwili, gdy Dot weszła do izby, gotowa do drogi powrotnej, on stał już w swym płaszczu z kapiszonem, zasłaniającym mu niemal całą twarz, zajęty koniem i pakunkami.

— A więc w drogę, kochany Johnie! Dobranoc, May! Dobranoc, Bertol!

Jak ona może całować swe przyjaciółki! Jak może żegnać je tak wesoło i swobodnie! Jak może pokazywać im swą twarz i nie oblać się przy tym rumieńcem wstydu! Tak, Tackleton umie bystro patrzeć i od dawna ją miał w podejrzeniu!

Tilly usypiała dziecko, powtarzając sennym głosem:

— A teraz tamte mają zostać jego żonkami, a serduszko tak boli, że omal nie pęka z żalu. A ojczulki ją okłamywali od dzieciństwa, aby na koniec złamać jej serduszko!

— Tilly, daj mi dziecko! Dobranoc, panie Tackleton. Gdzie podział się John?

— On chce iść pieszo, obok konia, — rzekł Tackleton, pomagając jej wsiąść.

— Johnie, mój drogi, co ci się też zacniewa? Chcesz iść pieszo? W taką mroźną noc?

Po same uszy otulona postać dała jej szybki znak potwierdzenia, a gdy piastunka i fałszywy starzec zajęli miejsca, koń ruszył w drogę. Bokser, niczego się nie domyślający, biegł przodem i znów wracał, okrążał wóz, czekając tak wesoło i triumfująco — jak rzadko kiedy.

Po odejściu Tackletona, który odprowadził May i jej matkę, biedny Kaleb pozostał sam ze swą córką. Zgnębiony, czyniąc sobie w duszy najokropniejsze wyrzuty, wciąż jeszcze wpatrywał się pełen posępnej zadumy w twarz ślepej, powtarzając raz po raz:

— Czy po to ją okłamywałem od kołyski, by jej na ostatku złamać serce?

Zabawki, nakręcone dla zabawienia dziecka, dawno już przestały się poruszać. W słabym oświetleniu i głębokiej ciszy można było sądzić, że niewzruszenie spokojne lalki, rozbrykane przed chwilą rumaki o wybałuszonych oczach i rozdętych nozdrzach, starzy panowie u drzwi wchodowych, na wpół pochyleni, jakby się trzęśli na swych niepewnych nogach, dziadki do orzechów z rozdziawionymi paszczami, ba, nawet dzikie zwierzęta, parami, niby panienki z pensjonatu, zmierzające do arki — że wszystko to przemieniło się w słupy soli w bezgranicznym przerażeniu z powodu wiarołomstwa Dot lub miłości Tackletona.

TRZECIE ĆWIERKANIE

Emaliowany zegar holenderski bił godzinę dziesiątą, gdy woźnica usiadł przy ognisku, tak zgnębiony i złamany, że nawet kukułka, przerażona, nie mogąc znieść tego niezwykłego widoku, jak najszybciej wyrzuciła swe dziesięć dźwięków i uciekła do maurytańskiego pałacu, zatrzasnąwszy za sobą drzwiczki.

Gdyby mały kosiarz uzbrojony był w najostrzejszą kosę i gdyby za każdym zamachem ciał był w serce woźnicy, to jeszcze nie byłby go tak poranił i rozdarł, jak to uczyniła Dot.

Serce to było tak przepelnione miłością do niej, tak oplecione i związane tysiącnymi nićmi wspomnień, utkanymi z codziennego oddziaływania jej najrozmaitszych zalet; serce to z takim gorącym oddaniem uczyniło z siebie ołtarz, ku jej czci wzniesiony; serce to tak było bezgranicznie prawe i wier-

ne, tak nie znające żadnego fałszu, że pod wpływem okropnego ciosu niezdolne było w pierwszej chwili do myśli o zemście, i tylko silniej jeszcze niż poprzednio zamknęło w sobie obraz swego bóstwa, teraz skalanego.

Ale stopniowo, stopniowo, podczas rozmyślania przy zimnym, ciemnym kominku, poczęły się w pierśi woźnicy budzić inne myśli — dzikie, niby gwałtowna burza w nocy. Ten obcy przybysz spoczywa pod jego szańbionym dachem. Trzy kroki, a byłby u jego drzwi. Jedno pchnięcie, a wyłamałby je. — Gotów pan popełnić zbrodnię, zanim się opamiętasz — powiedział Tackleton. Czyż byłoby to zbrodnią, gdyby temu nikczemnikowi pozostawił dość czasu, aby się z nim zmierzył? Przecież ten łotr młodszy jest od niego.

Myśl ta zrodziła się w złej godzinie, zrodziła się wśród jego posepnych rozmyślań. Myśl zła, pchająca go do zemsty, która to miłe domostwo przemieniłaby w miejsce przeklęte, trwożnie omijane w nocy przez samotnych podróżnych, w miejsce, gdzie ludzie lękliwego serca widzieliby przy bladym świetle księżycy walczące z sobą cienie, a podczas burzy słyszeliby dzikie krzyki!

Tamten jest młodszy! Tak, tak, młodszy jest ten wielbiciel, który zdobył jej serce, to serce, co nigdy nie należało do niego. Dawny jej kocianek, o którym myślała, o którym marzyła, o którego się trapiła, gdy on sądził, że czuje się tak szczęśliwą u jego boku! O, jaka męczarnia myśleć o tym!

Wyszła teraz, by dziecko ułożyć do snu. Siadział przy ognisku, pogrążony w ciężkiej zadumie, nie zauważywszy nawet, że się do niego zbliżyła,

gdyż poza skrzypieniem koła Fortuny, które go tak bezlitośnie zmiążdżyło, nic innego nie słyszał. Usta-
wiła swój mały stołeczek u jego nóg. Spozrzegł to
dopiero wtedy, gdy poczuł jej rękę na swojej i po-
tknął się z jej ku niemu biegnącym spojrzeniem.

Czy była zdziwiona? Niel Tak, w pierwszej
chwili zdawało mu się, że czyta w jej oczach zdu-
mienie, i musiał spojrzeć ponownie, by się upewnić,
czy się jednak nie myli. Nie, nie była zdziwiona,
Twarz jej wyrażała raczej natarczywe pytanie, niż
zdumienie. W pierwszej chwili twarz jej stała się
ogromnie poważna i przerażona, następnie prze-
mknął po niej dziki, okropny uśmiech poznania, gdy
odgadła jego myśli; a potem nie widział już nic,
prócz rąk, rozpacznie zaciśniętych nad czołem, i po-
chylonej głowy, i włosów opadających na plecy.

Choćby w tej chwili dzierżył był w swym ręku
brutalną siłę Wszechmocy, to w piersi jego mieściło
się zbyt wiele jej cech bardziej boskich: łaski i miło-
sierdzia, by ją mógł dotknąć teraz bodaj jednym
słowem. Ale nie potrafił patrzeć na nią, gdy pochy-
lona siedziała na niskim stołeczku. Codziennie wi-
dywał ją na tym samym miejscu, dumną ze swej
niewinności i piękności, a teraz... To też doznał
uczucia ulgi, gdy łkając wybiegła z pokoju a on
mógł patrzeć na puste miejsce, gdzie już nie było
tak bardzo kochanej istoty. Jej widok był dlań męką
najgorszą, przypominając mu w sposób najsroższy,
jak bardzo jest opuszczony, gdyż zerwany został
najsilniejszy węzeł, jaki go łączył z życiem.

Im bardziej to czuł, im częściej mówił sobie
w myśli, że lżej byłoby mu widzieć ją nieżywą
razem z dzieciątkiem przy piersi, tym bardziej

wzbierała i potęgowała się jego wściekłość na wroga. Rozejrzał się za bronią.

Na ścianie wisiała strzelba. Zdjął ją i podszedł ku drzwiom, wiodącym do izby wiarołomnego przybysza. Wiedział, że strzelba jest nabita. Mętne wyobrażenie, że stanie się tylko zadość sprawiedliwości, jeśli człowieka tego zastrzeli jak dzikie zwierzę, stopniowo przybierało rozmiary potworne, aż go opanowało całkowicie, wypłoszywszy wszelkie myśli łagodniejsze i rozpościerając nad nim nieograniczoną władzę despoty.

To wszystko jednak nie wyraża istotnego stanu rzeczy. Demon ten bowiem nie wypłoszył myśli łagodniejszych — nie! On je tylko chytrze i przewrotnie przeobraził, przekształcił w kłujące ostrogi, które go parły naprzód; wodę przemienił w krew, miłość w nienawiść, łagodność w ślepy gniew. Jej obraz, obraz Dot, rozżalonej i upokorzonej, wciąż jeszcze z nieprzepartą mocą przemawiający do jego dobroci i miłosierdzia, nie opuszczał go; był przy nim i parł go ku drzwiom obcego przybysza; włożył mu strzelbę w ręce i przytknął palce jego do cynkla, wołając: „Zastrzel go w łóżku!”

Przekreślił strzelbę na ramieniu, by kolbą pchnąć drzwi. Już ją podniósł do góry... przez głowę przemknął mu niejasny zamiar zawołania: „Przybyszu, uciekaj! Na Boga! Umknij oknem!”

Aż tu nagle ogień, dogasający na kominku, buchnął jasnym płomieniem, rozświetlając cały kominek, a równocześnie ozwało się ćwierkanie świerszczał!

Zaden dźwięk, żaden głos ludzki, ani nawet głos Dot, nie byłby go tak wzruszył i ułagodził!

Naiwne słowa, którymi mu wytłumaczyła, dlaczego tak bardzo lubi tego świerszcza, ponownie żyły w jego sercu; ponownie usłyszał jej głos, drżący głębokim uczuciem — ten jej słodki głos, będący najczarowniejszą muzyką u domowego ogniska uczciwego człowieka! Głos ten obudził jego lepszą naturę, obudził go do życia na jawie.

Jak lunatyk, budzący się z ciężkiego snu, chwiejnym krokiem cofnął się od drzwi i odstawił strzelbę. Zakrył twarz rękoma, siadł znów koło kominka, a gorące łyż przyniosły mu ulgę.

Świerszcz, ćwierkający u ogniska, wyszedł ze swego ukrycia i stanął przed nim w postaci boginki.

— Lubię go za to, — mówił głos boginki, powtarzając słowa, które tak dobrze zapamiętał, — że tak często mi ćwierkał, że jego miły głos tyle mi nasuwał myśli.

— To ona powiedziała! — wykrzyknął woźnica.
— Pamiętam doskonale!

— Znalazłam tu szczęśliwe domostwo, Johnie, i za to lubię świerszcza!

— Tak, Bóg widzi, że to domostwo było szczęśliwe, — rzekł woźnica. — Ona je napełniała szczęściem... zawsze... aż do dnia dzisiejszego.

— Taka wdzięczna i słodka, taka gospodarna i skrzętna i pogodna! — mówił głos.

— Gdyby była inną, nie byłbym jej tak kochał, jak ją kochałem, — odparł woźnica.

— Jak ją kocham, — poprawił głos.

Woźnica powtórzył: — Jak ją kochałem. — Ale powiedział to już mniej stanowczo. Płaczący się język nie był mu posłuszny i mówił, co mu się podobало, za siebie i za niego.

Postać podniosła rękę i gestem zaklinającym, rzekła:

— U własnego twego ogniska...

— Które ona shańbiła, — wtrącił woźnica.

— Które tak często błogosławiła i opromieniała szczęściem, — rzekł świerszcz, — a które bez niej byłoby niczym innym jak tylko odrobiną kamieni, cegieł i zardzewiałych blach, a dzięki niej stało się ołtarzem twego domostwa, na którym wieczorami poświęcałeś niejedną małostkowość, egoizm i troskę, by wielbić pogodę ducha, naturę budzącą zaufanie i gorące serce, tak, że dym wzbijający się z tego biednego komina był kadzidłem cenniejszym od najrozkoszniejszych, spalanych w najwspanialszych świątyniach tego świata. U własnego twego ogniska, powiadam, w zacisznej tej atmosferze, ulegając jego łagodzącemu wpływowi, jego szlachetnej podniecie, wysłuchaj swą żonę, wysłuchaj mnie! Wysłuchaj wszystkiego, co przemawia językiem twego serca i twego domostwa!

— I co przemawia za nią? — zapytał woźnica.

— Wszystko, co mówi językiem twego ogniska i twego domostwa, m u s i prosić za nią! — odparł świerszcz; — bo to wszystko mówi prawdę.

A gdy woźnica, z głową wspartą na rękę siedział głęboko zadumany, przystąpiła doń terażniejszość i skierowała jego rozważania na chwilę obecną, ukazując mu Dot jakby odbitą w zwierciadle, lub utrwaloną na obrazie. Terażniejszość nie przyszła sama. Z ogniska, z kominka, z zegara, z fajki, z kociołka i kołyski, ze schodków, z wozu, stojącego na podwórzu, ze ścian, z sufitu, z szafy i każdego sprzętu i każdego kąta, zewsząd, gdzie

się kiedykolwiek krzątała, z wszystkiego, co ją teraz nieszczęśliwemu mężowi przypominało — ukazały się oto całe roje elfów. Nie po to, by stanąć obok niego jak świerszcz, lecz by się uwijać i poruszać i składać hołd pani domu. I aby ten jej obraz okrążyć barwnym korowodem i pieścić go i kwiaty mu sypać pod stopy. I piękną jej główkę wieńczyć drobnymi rączkami. I pokazywać, że ją kochają i cenią i że ani jeden szkaradny, zły czy grzeszny twór nie pozostaje z nią w żadnym związku, a tylko one, figlarne, wielbiące ją boginki, otaczają ten jej obraz. Myśli te nie odstępowały go ani na jedną chwilę.

Oto siedzi przy ognisku śpiewając, zajęta jakąś ręczną robótką. Taka wesoła, kwitnąca, obowiązująca gosposia! Elfy, jakby na dany znak, jakby na jakieś czarodziejskie zaklęcie, od razu się ku niemu zwróciły, pytając niejako: — Czy to ta lekkomyślna żona, z powodu której taką przywdziałeś żalobę?

Na dworze ozwał się wesoły gwar, muzyka, głośnie rozmowy i śmiechy. Wpadła rozbawiona gromadka młodzieży, a wśród niej May Fielding i kilka innych ładnych dziewcząt. Dot jest z pośród nich najładniejsza i taka młodziutka! Chcą zabrać towarzyszkę na zabawę z tańcami. Jeśli jakieś nóżki stworzone były do tańca, to na pewno nóżki Dot; ale ona ze śmiechem potrząsa głową, wskazując na wieczerzę, którą właśnie gotowała i na nakryty stół. W geście tym mieści się triumfujące zapewnienie, że wyrosła już ponad pustotę młodości, a ten dumny uśmiech czyni ją jeszcze piękniejszą. Pozwoliła im więc odejść, wesoło żegnając młodych ludzi, którzy z nią pragnęli potańczyć, odprawiając jednego po

drugim z obojętnością tak komiczną, że gdyby byli jej wielbicielami — a mniej więcej byli nimi wszyscy — musieliby się chyba wszyscy potopić z rozpacz. A jednak obojętność nie była cechą jej natury. O nie; bo po chwili wszedł do izby pewien woźnica — o Boże, z jakim radosnym uniesieniem witała go!

I znów wszystkie postacie, o nieruchomo wpatrzonych oczach, zwróciły się do niego równocześnie, jakby się pytały: — Czy to jest ta wiariotomna kobieta?

Cień padł na zwierciadło czy obraz, jak to zechcemy nazwać. Był to wielki cień obcego mężczyzny, taki, jak wówczas, gdy pierwszego wieczora wszedł pod ich dach, a cień ten przesłonił całe domostwo, zacierając wszystko inne. Ale skrzętne boginki pracowały jak pszczoły nad usunięciem tego obrazu. I znów się ukazała Dot — wciąż jeszcze pogodna i śliczna.

Kołysała swe małeństwo, opierając głowę o pierś mężczyzny, będącego odbiciem tej pochyłonej postaci, obok której stoi oto świeższ w postaci boginki.

Zapadła noc — mam na myśli noc prawdziwą, nie mającą nic wspólnego z zegarami elfów — a gdy woźnica doszedł właśnie do tego punktu rozmyślań, na niebie ukazał się księżyc, jasną poświatą zalewając niebo i ziemię. Być może, że jasne, spokojne światło rozblęzło też w duszy woźnicy i trzeźwiej mógł myśleć o tym, co zaszło.

Jakkolwiek cień obcego przybysza padał od czasu do czasu na zwierciadło — wciąż wyraźny, wielki i ostro zarysowany — to jednak nie był to

już cień tak ponury jak poprzednio. A gdy się tylko pojawił, elfy jednogłośnie wydawały okrzyk przeżalenia, drobnymi ramionkami i nóżkami starając się go odsunąć. Gdy zaś ponownie dotarły do Dot i znów mu ją ukazały w całej jej urodzie i blasku, triumfowały i radowały się tak serdecznie, że miło było ich słuchać.

I nigdy nie ukazały młodej gosposi inaczej, jak w krasie piękności i pogody, gdyż były to duchy domowego ogniska, dla których wszelki fałsz, wszelka nieprawda oznaczają zagładę; a jako takie, nie znały one innej Dot, jak tylko tę skrzętną, wesołą, śliczną kobietkę, która była jasnym słończkiem woźnicy, światłem jego domu!

Niezmiernie pomysłowe i żywe były boginki, ukazując młodą kobietę z dzieciątkiem, jak w gronie sędziwych niewiast wiodła poważne rozmowy, przybierając ton matrony. Zachowując się całkiem jak stara kobieta, która dawno już wyszła poza igraszki młodego wieku, poważna i skupiona, opierała się na ramieniu swego męża, próbując — taki pączek rozkwitający! — wywołać wrażenie, jakby się już od dawna wyrzekła wszelkiej próżności świata a żyła jedynie i wyłącznie dla domowego ogniska. A równocześnie ukazywały ją rozbawioną, śmiejącą się z niezgrabnego woźnicy, poprawiającą na nim ubranie, by wyglądał elegancko, albo płaszącą w tej samej izdebce, by go nauczyć tańców.

Boginki odwróciły się szybko, i niesamowicie szeroko rozwarły swe ślepki, ukazując małą kobietkę w towarzystwie ślepej Berty. Gdziekolwiek przysza, wszędzie wносиła z sobą radość i ożywienie, ale w domostwie Kaleba Plummera ten jej wpływ był

jeszcze silniejszy. Miłość ślepej dziewczyny do niej, zaufanie, jakie w niej pokładała, jej wdzięczność bezmierna, wdzięk i prostota, z jaką Dot uchylała się od jej podziękowań, zręczne małe fortele, jakimi się posługiwała, by za każdorazową wizytą spełnić jakąś użyteczną czynność w małym gospodarstwie, przez cały czas odwiedzin pilnie pracując, a udając, że wypoczywa; obfite zaopatrzenie Berty i jej ojca w zwykłe smakołyki, jak pieczeń cielęca, paszтет wieprzowy i piwo; promieniejąca twarz w chwili przybycia i w chwili odjazdu — wszystko to sprawiało boginkom rozkosz prawdziwą i za to ją tak kochały i podziwiała. I jeszcze raz wszystkie boginki równocześnie spojrzały błagalnie na woźnicę, zaś niektóre z nich, czepiając się sukni Dot, i obsypując ją pieszczotami, jakby pytały: — Czy to jest kobieta, która zawiiodła twe zaufanie?

Więcej niż raz lub dwa, lub trzy razy w ciągu długiej nocy, spędzonej na rozmyślaniach, elfy ukazywały mu młodą kobietę, siedzącą na swych ulubionych miejscach, z głową pochyloną i rękoma przyciśniętymi do czoła, z włosami opadającymi na twarz. Tak ją widział raz ostatni. A gdy elfy widziały ją w tej pozycji, nie odwracały się do niego, lecz otaczały ją kołem i cisnęły się ku niej i pocieszały ją i całowały, ubiegając się wzajemnie w dowodach współczucia i miłości i całkowicie o nim zapominając.

Tak minęła noc. Księżyc zniknął z nieba, gwiazdy bladły stopniowo; wstawał dzień mroźny, oświetlony wschodzącym słońcem. Woźnica wciąż jeszcze siedział, pogrążony w ciężkiej zadumie, w kąciaku koło komina. Tak przesiedział całą noc, z głową

wspartą na rękach. Przez całą noc wierny świerszcz ćwierkał u ogniska. A on przez całą noc wsluchiwał się w to ćwierkanie. Przez całą noc elfy domowego ogniska krzątały się koło niego. Przez całą noc Dot ukazywała się w zwierciadle, miła i czysta, o ile na nią nie padał ten jeden jedyny cień.

Gdy się już całkiem rozwidniło, woźnica wstał, umył się i ubrał. Do swego zwykłego wesołego zajęcia zabrać się nie mógł, gdyż nie był do tego usposobiony. To jednak nie stanowiło różnicy, gdyż był to przecież dzień ślubu Tackletona, wobec czego John wprawdzie już ułożył się był z dobrym znajomym, by tego dnia zastąpił go w rozwożeniu poczty. Miał zamiar pójść z Dot do kościoła, o czym teraz nie było co myśleć. Przecież dzień ten jest także ich rocznicą ślubu! Ach, kto byłby przypuszczał, że

Woźnica spodziewał się, że Tackleton odwiedzi go wczesnym rankiem, co się też stało. Przez małą tylko chwilę przechadzał się przed domem, gdy ujrzał handlarza zabawek nadjeżdżającego swą bryczką. Gdy ekwipaż zbliżył się dostatecznie, woźnica zauważył, że Tackleton wystroił się do ślubu niezwykle starannie, a nawet łeb swego konia uwienczył kwiatami i wstęgami.

Koń wyglądał znacznie bardziej na pana młodego niż Tackleton, którego na wół przymrużone oko spoglądało dziś jeszcze szkaradniej niż zwykle. Ale woźnicę nie obchodziło to. Myśli jego zaprzęgnięte były czym innym.

— Johnie Peerybingle, — odezwał się gość tonem współczucia, — druhu kochany, jakże się dziś miewasz?

— Przykrą miałem noc, panie Tackleton, — odrzekł woźnica, potrząsając głową, — gdyż rozmaite mi się nasuwały myśli. Ale wszystko to już minęło. Czy może mi pan użyzyć pół godzinki czasu, by pomówić w cztery oczy?

— Przecież w tym celu przyjechałem, — odparł Tackleton, wysiadając. — Zostaw pan konia, będzie tu stał spokojnie. Przywiążę tylko lejce do tego pała... A gdyby mu pan jeszcze rzucił garstkę siana...

Woźnica przyniósł ze stajni trochę siana i położył je przed koniem, poczem obaj weszli do domu.

— Pan bierze ślub dopiero po południu? — zapytał woźnica.

— Tak, — potwierdził Tackleton, — jeszcze dużo czasu. Dużo jeszcze czasu.

Gdy weszli do kuchni, Tilly pukała właśnie do drzwi obcego pana, o parę tylko kroków oddalonych od kuchni. Jedno z jej mocno zaczerwienionych oczu — Tilly płakała bowiem przez całą noc, ponieważ pani jej płakała — usiłowało coś zobaczyć przez dziurkę od klucza. Pukała bardzo gwałtownie i wydawała się ogromnie zaniepokojoną.

— Proszę pana, bardzo proszę. Kiedy nic nie słychać, — mówiła Tilly, rozglądając się dokoła. — Ach, Boże litościwy, chyba nikt stąd nie uciekł ani nie został tu zabity?

To humanitarne życzenie poparła panna Tilly kilku uderzeniami w drzwi i to równocześnie pięścią i nogą, ale wszystko bez skutku.

— Może zobaczyć, co się tam dzieje? — rzekł Tackleton. — To przecież dziwne!

Woznica odwrócił się od drzwi, dając mu gestem do zrozumienia, że może wejść, jeśli ma ochotę.

Tackleton przyszedł więc z pomocą pannie Tilly i zaczął się też dobijać do drzwi rękami i nogami, ale tak samo bezskutecznie. Przyszło mu jednak na myśl nacisnąć klamkę, która bez trudności się poddała. Uchylił drzwi, wszedł do pokoju, lecz zaraz z niego wybiegł.

— Johnie Peerybingle, — szepnął mu do ucha, — chyba nie dokonałeś w nocy jakiego nierozważnego czynu?

Woznica szybko się obejrzał.

— Bo go wcale nie ma w pokoju, — wyjaśnił Tackleton, — a okno stoi otwarte. Żadnych śladów nie widzę... co prawda leży ono na tym poziomie co ogród. Obawiałem się jednak... czy nie przyszło między wami do jakiej bójkki. Czyżby?

Teraz przymrużył niemal całkiem swe wymowne oko, tak bystro mu się przyglądał. Zdawało się przy tym, że nie tylko oko i twarz, ale cała jego postać wykrzywia się od tego napięcia, jak gdyby wświdrował się cały w woznicę, by z niego wydobyć prawdę.

— Proszę się uspokoić, — rzekł woznica, — Wczoraj wieczór wszedł do tej izby, nie usłyszawszy ode mnie żadnego złego słowa, a od tej chwili nikt tu nie wchodził. Wyprowadził się dobrowolnie. Chętnie wyszedłbym stąd, by żebrać od drzwi do drzwi, gdybym przez to mógł zmienić przeszłość w ten sposób, by on nigdy nie był przestąpił mego progu. Ja z nim skończyłem!

— Ach tak! Więc wykpił się tanim kosztem, — rzekł Tackleton, siadając.

Woznica nic sobie nie robiąc z jego szyderczego uśmiechu, usiadł również i na chwilę dłonią przesłonił oczy, zanim znów zaczął mówić.

— Wczoraj wieczór pokazał mi pan moją żonę... moją żonę, którą kocham... w tajemnym...

— I czułym, — wtrącił Tackleton,

— ...porozumieniu z tym obcym, przebranyim człowiekiem. Umożliwiła tu spotkanie sam na sam. Każdy inny widok..., jakikolwiek..., byłby mi miłszy od tego. Każdy inny człowiek, każdy inny mężczyzna mógłby mi być ostatecznie pokazać to... tylko nie pan.

— Tak, wyznaję, że od dawna miałem podejrzenie, — rzekł Tackleton. — I dlatego właśnie byłem panu solą w oku — wiem o tym.

— Skoro mi pan jednak to pokazał, — mówił dalej woznica, nie troszcząc się o słowa tamtego, — skoro pan widział moją żonę... moją żonę, którą kocham, — (głos, spojrzenie i ręka stały się silniejsze i bardziej stanowcze, gdy mówił te słowa, zmierzając widocznie do jakiegoś określonego celu) — skoro ja pan przychwycił na tej słabostce... to słuszne też jest i sprawiedliwe, by spojrzał pan na to moimi oczyma, by wejrzał pan w me serce i dowiedział się, jak ja się na to zapatruję. Ja bowiem powziąłem postanowienie, od którego nic mnie odwieść nie zdoła, — rzekł woznica, uważnie wpatrując się w Tackletona.

Tackleton mruknął parę ogólnikowych słów potakiwania. Tak, oczywista, jakąś satysfakcję trzeba jednak znaleźć. Ale zachowanie Peerybingle'a zmusiło go szybko do trwożnego zamilknięcia. Mimo całej prostoty była w woznicy pewna szlachetna

godność, płynąca z prawej uczciwej istoty jego natury.

— Jestem człowiekiem prostym, całkiem zwyczajnym, — mówił woźnica — i nie mam z czego być dumny. Nie jestem też nazbyt mądry, jak panu wiadomo, a młodość też już mam poza sobą. Kochałem moją małą Dot, gdyż kochałem ją od dziecka, gdyż przez długie, długie lata żyłem tylko nią i dla niej, bo dokładnie wiedziałem, jaki znajduje w niej skarb. Nie mogę się równać z niejednym mężczyzną, a niejeden mnie przewyższa, ale ani jeden nie byłby mojej Dot kochał tak gorąco, jak ja ją kochałem.

Zamilkł. Przez chwilę lekko obcasem stukał o podłogę, po czym mówił dalej:

— Nieraz myślałem, że szkoda jej dla mnie, ale potem sobie znów mówiłem, że będzie we mnie miała męża, tak głęboko ją kochającego, że może lepiej zdoła ocenić jej wartość, niż inny. I w ten sposób z wolna oswoiłem się z myślą, że mimo wszystko możemy się pobrać. I tak się też stało ostatecznie, żeśmy się pobrali.

— Ach tak! — rzekł Packleton, wymownie kiwając głową.

— Sumiennie zbadalem siebie samego; sądziłem, że znam się dostatecznie. Wiedziałem, jak bardzo ją kocham i jak ogromnie będę szczęśliwy... za mało jednak myślałem o niej, co teraz dopiero zrozumiałem.

— No tak, oczywiście, — potwierdził Tackleton. — Lekkomysłność, trzpiotowatość, próżność, pragnąca, by ją podziwiano! O tym pan nie pomyślał! To uszło pańskiej uwadze! No tak, naturalnie!

— Lepiejby pan zrobił, nie przerywając mi swymi uwagami, — rzekł szorstko woźnica, — dopóki mnie pan nie zrozumie, a widzę, że bardzo jeszcze do tego daleko. Gdy wczoraj byłem gotów powalić każdego człowieka, który bodaj jednym słówkiem byłby się ośmielił jej ubliżyć, to dziś stanąłbym mu na piersi — chociażby nim był mój rodzony brat!

Handlarz zabawek przyglądał mu się w osłupieniu. A Peerybingle mówił tonem łagodniejszym:

— Czyż zastanowiłem się, że tę śliczną, młodą dziewczynę wyrywam z grona jej rówieśnic, z miejsc, których była ozdobą i najjaśniejszą gwiazdeczką, by ją zaprowadzić do mego pustego domu i zamknąć na zawsze z takim nudnym osobnikiem jak ja? Czy zastanowiłem się, jak mało odpowiadam jej żywej, kipiącej naturze i jak nudnym musi się stać dla kobiety pełnej wesołości człowiek tak ociężały, jak ja? Czy zastanowiłem się, że nic sobie nie mogę wmawiać, że moja miłość dla niej nie jest żadną zasługą, bo przecież wszyscy ją kochają? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Wyzyskałem jej usposobienie pogodne, pełne otuchy, biorąc ją za żonę. Obym nigdy tego nie był uczynił! Ze względu na nią — nie na mnie!

Handlarz zabawek wpatrywał się w niego skamieniały — nie mogąc już nawet mrugać oczyma. Bo także oko, które stale było przymrużone, miał teraz szeroko rozwarte.

-- Niech ją Bóg błogosławi za tę radosną ochoczość, z jaką próbowała zaoszczędzić mi tej próby! A mnie niech Bóg wybaczy, że, w mej tępcie, wcześniej tego nie zrozumiałem, ujrzawszy łyzy w jej

oczach, gdy mówiono o małżeństwie, podobnym do naszego! Ja, który przecież jakie sto razy widziałem tajemnicę, drżącą na jej ustach, i nigdy jej nie przeczułem, aż do wczorajszego wieczora! Biedna! Że też się mogłem spodziewać, że mnie kiedykolwiek pokocha! Że też mogłem uwierzyć, że mnie już kocha!

— Udawała, że tak jest, — rzekł Tackleton. — I właśnie to jej udawanie wzbudziło we mnie największą podejrzliwość!

Po czym zauważył, że May Fielding jest jednak całkiem inna — ona nigdy nie udaje, że go kocha.

— Dot zadawała sobie wszelki możliwy trud i próbowała mnie pokochać, — rzekł nieszczęśliwy woźnica, nie umiając dłużej ukryć głębokiego zruśzenia; — teraz dopiero widzę, jak bardzo usiłowała być dla mnie żoną wierną i oddaną. Jaka ona była dobra! Jak wiele dla mnie zrobiła! O jej dzielnym, silnym sercu niech świadczy szczęście, jakiego zastałem pod tym dachem! To mi będzie pociechą i pokrzepieniem, gdy tu zostanę sam!

— Sam? — zapytał Tackleton. — Jakto? Więc pan nie przejdzie nad tym do porządku?

— Postanowiłem dać jej największy dowód miłości, — rzekł woźnica, — naprawiając, o ile to w mojej mocy, krzywdę, jaką jej wyrządziłem. Uwolnię ją od męki małżeństwa niedobranego, wybawię ją od codziennego przymusu. Będzie tak swobodna, jak tylko ją uczynić potrafię.

— Chce pan naprawić to, co pan uczynił? — wykrzyknął Tackleton, obiema rękami chwytając się za uszy. — Chyba źle słyszałem. Tego pan chyba nie mógł powiedzieć.

Woźnica pochwycił handlarza za kołnierz i potrząsnął nim jak trzcina.

— Więc nadstaw pan uszul — rzekł, — i uważaj, byś dobrze słyszał. Czy teraz mówię wyraźnie?

— Tak, bardzo wyraźnie, — odrzekł Tackleton.

— I poważnie?

— Więcej niż poważnie!

— Przesiedziałem przy tym kominku całą noc, całą ostatnią noc! — mówił woźnica. — Na tym miejscu, gdzie ona tak często przy mnie siadywała, zwracając ku mnie swą słodką twarzyczkę. Przechodziłem pamięcią całe jej życie, dzień po dniu. Od dzieciństwa przesuwiała mi się przed oczyma, jak rośła i rozwijała się. I klnę się na duszę, że jest niewinną, o ile istnieje sędzia sprawiedliwy dla winnych i niewinnych!

Dzielny świerszczu u ogniska! Dzielne elfy domowe!

— Odstąpiła ode mnie namiętność i podejrzliwość, — mówił dalej woźnica, — a pozostała tylko zgryzota. Dawny wielbiciel, odpowiedniejszy dla niej wiekiem i wyglądem niż ja, którego może musiała się dla mnie wyrzec wbrew swej woli, powrócił w nieszczęśliwej chwili. W nieszczęśliwej chwili; a ponieważ nie miała czasu zastanowić się, co jej uczynić wypada, stała się współwinną, zataiwszy prawdziwy stan rzeczy. Wczoraj wieczór zgodziła się na schadzke, której byliśmy świadkami. Uczyniła źle. Ale poza tym żadna na niej nie ciąży wina, o ile wierność i prawda istnieją jeszcze na tym świecie!

— Skoro takie jest pańskie zdanie, — począł Tackleton.

— To może stąd odejść spokojnie! — dokończył woźnica. — Może odejść z moim błogosławieństwem i gorącą podzięką za te wszystkie szczęśliwe chwile, jakimi mnie obdarzyła, z przebaczeniem za wszelki ból, jaki mi sprawiła.

— Może odejść i znaleźć spokój duszy, którego jej życzeń! Nigdy mnie nie będzie nienawdzić, a nauczy się mnie bardziej kochać, gdy nie będę jej kępował, gdy zdejmę z niej okowy, które jej nałożyłem. Dziś rok, jak wyrwałem ją z domu rodzicielskiego, nie rozważywszy dokładnie, czego pragnąć może jej młode serce. Dziś może wrócić do rodziców, ja jej dłużej więzić przy sobie nie będę. Tak, dziś przybędą tu jej rodzice, gdyż mieliśmy obchodzić rocznicę naszego ślubu, będzie więc mogła z nimi odjechać. Mogę jej ufać, tam, jak i wszędzie. Opuści mnie bez plamy, a jestem przekonany, że w dalszym ciągu będzie wieść życie bez skazy. Gdybym umarł — a stać się to może niebawem, bo ielką część sił życiowych utraciłem w ciągu dzisiejszej nocy — ona się dowie, że myślałem o niej i kochałem ją do ostatka. Oto zakończenie tego, co mi pan ukażał. Teraz już po wszystkim!

— O nie, Johnnie, nie po wszystkim. Nie mów tego. Nie wolno ci tak mówić. Słyszałam twoje szlachetne słowa. Nie mogłam się wymknąć i udawać, że nie wiem tego, co mnie tak głęboko wzruszyło, taką dla ciebie obudziło wdzięczność. Nie mów, że już po wszystkim. Zaczekaj, aż zegar znów wybije godzinę.

Weszła w chwilę po Tackletonie i już tu została, niezauważona przez mężczyzn. Ani razu nie spojrzała na handlarza, wciąż mając oczy utkwione w mężu. Trzymała się jednak na uboczu, także teraz, a chociaż mówiła z wielką powagą i przejęciem, nie zbliżała się do niego. Jakże inaczej niż zwykle!

— Nikt już nie sporządzi zegara, któryby raz jeszcze wybił minione godziny, — odparł woźnica z bladym uśmiechem. — Niech jednak będzie, jak sobie życzysz, moja droga. Wszak niebawem zaczną już bić. Słowa nie na wiele się tu przydadzą. Ale gdyby chodziło o coś znacznie trudniejszego do spełnienia niż to, czego ode mnie żadasz, to mimo to starałbym się spełnić twe życzenie.

— Na mnie czas, — zamruczał Tackleton, — bo gdy zegar wybije godzinę, muszę już być w drodze do kościoła. Żegnaj Johnie Peerybingle. Przykro mi, że muszę się wyrzec dziś pańskiego towarzystwa. Przykro mi, że nie może pan uczestniczyć w dzisiejszej uroczystości — i mocno żałuję, że dla takiej przyrzeczyny...

— Przecież mówiłem dość wyraźnie? — zapytał woźnica.

— Tak, tak!

— I zapamięta pan moje słowa?

— Ano, skoro mnie pan zmusza do wypowiedzenia się, — rzekł Tackleton, przez ostrożność sadowiając się wpięrow na bryczce, — to muszę powiedzieć, iż wyjaśnienie pana było dla mnie czymś tak nieoczekiwanym, że go tak łatwo zapomnieć nie potrafię.

— Tym lepiej dla nas obu, — odrzekł woźnica. — Żegnaj pana i życzę dużo przyjemności!

— Ja bym panu też życzył tego samego, ale nie mogę. Więc tylko dziękuję za życzenia. Mówiąc między nami — już to panu raz powiedziałem — w małżeństwie nie spodziewam się wiele przyjemności, bo May się wcale z tym nie kryje, że niewiele sobie ze mnie robi! Więc żegnam! A niech sobie pan tego nie bierze zbyt do serca!

Woźnica patrzył za nim długo, aż w oddali stał się mniejszy od kwiatów i wstążek, którymi przystroił swego konia. Gdy całkiem zniknął mu z oczu, woźnica westchnął głęboko i, jak zupełnie złamany człowiek, zaczął niespokojnie chodzić tam i na powrót pod klonami, rosnącymi przed domem. Nie chciał wejść do mieszkania, zanim zegar zacznie bić godzinę.

Żona jego, pozostawszy sama, gorzko zapłakała. Raz po raz ocierała twarz zalaną łzami, starając się zapanować nad sobą, mówiąc sobie co chwila, jaki on dobry, jaki szlachetny. To znów śmiała się tak triumfująco — choć przez cały czas łkała gwałtownie — że Tilly nie wiedziała, co począć ze strachu.

— O Boże, o Boże, niech się pani uspokoi! — jęczała. — Jeśli to potrwa dłużej, to mały umrze ze zmartwienia. Z pewnością umrze! O Boże, Boże!

— Tilly, czy przyniesiesz czasem małego tu, do ojca, gdy mnie już tu nie będzie, bo muszę wracać do rodziców? — pytała Dot, ocierając łzy.

— O Boże, o Boże! Niech pani tego nie mówi! Hu-u-u-u! — wyła Tilly, w tej chwili uderzająco podobna do Boksera. — Ojoj, Ojoj! Co się stało takiego, że wszyscy mamy być tacy nieszczęśliwi! Ojoj! Ojoj! Ojoj!

I piastunka, mająca czułe serce, zaczęła szlochać tym gwałtowniej, że długo się powstrzymywała od tego wybuchu. Niewątpliwie byłaby obudziła dziecko i przestraszyła je swym wyciem, tak że conajmniej byłoby dostało jakich kurczów, gdyby spojrzenie jej nie było padło w tejże chwili na Kaleba Plummera, wprowadzającego swą ślepą córkę do mieszkania woźnicy. Wobec tego uznała, że dalsze ćwiczenia wokalne są na razie nieodpowiednie i przez chwilę stała jak słup soli, zapomniawszy zamknąć usta. Następnie pobiegła do łóżeczka, na którym spało dziecko i tu zaczęła wykonywać istny taniec św. Wita, wtuliwszy głowę w prześcieradło, co jej przynosiło widoczną ulgę.

— Dot, — odezwała się Berta, — ty nie pójdziesz na wesele?

— Powiedziałem jej, że pani tam nie będzie, — szepnęła Kaleb. — Słyszałem o tym wczoraj wieczór. Ale, Boże święty, — mówił dalej mały człowieczek, pieszczotliwie ujmując ją za rękę, — ja nie zważam na ludzkie gadanie. Nie wierzę im. Wpierw dałbym się porąbać w kawałki, zanimbym uwierzył temu, kto by o pani mówił co złego.

Objął ją za szyję i przycisnął do piersi, jak dziecko pieściłoby jakąś przez niego zrobioną lalkę.

— Berta nie mogła dziś wytrzymać w domu, — mówił Kaleb. — Bała się, że może usłyszeć dzwony kościelne i nie miała odwagi być dziś tak blisko państwa młodych. Więc wcześniej wyszliśmy z domu i oto jesteśmy. Myślałem wiele o tym, co zrobiłem, — mówił Kaleb po chwilowej pauzie: — czyniłem sobie gorzkie wyrzuty, aż mi się już całkiem zaczęło kręcić w głowie i sam już nie wiem, jak złagodzić

jej ból, który spowodowałem. Doszedłem ostatecznie do przekonania, że najlepiej będzie, gdy jej powiem prawdę, ale w tym musiałaby mi pani pomóc. Czy pani będzie przy nas, gdy jej o tym powiem? — zapytał, trzęsąc się cały jak w febrze. — Nie wiem, jakie wrażenie zrobi to na Bercie; nie wiem, co ona o mnie pomyśli; nie wiem, czy zechce się jeszcze po tym wszystkim przyznawać do swego biednego ojca. Ale myślę, że dla niej będzie najlepiej, gdy usłyszy prawdę, a następstwa będą musiały znieść, jak potrafię, gdyż moja w tym winna.

— Dot, — rzekła Berta, — gdzie jest twoja ręka? Ach tak, już ją mam, mam ją, — powtórzyła, uśmiechając się i przyciskając do ust rękę przyjaciółki. — Słyszałam wczoraj wieczór, jak szeptem mówiono, że dopuściłaś się czegoś złego; ale to kłamstwo.

Żona woźnicy milczała, lecz Kaleb odpowiedział za nią:

— Tak, to kłamstwo!

— Wiedziałam! — zawołała Berta głosem, w którym przebijała duma, — i od razu im też powiedziałam. Nie chciałam nawet słyszeć, o co się obwiniają. Nikt nie może mojej kochanej Dot zarzucić coś uwłaczającego. Nie, tak ślepa nie jestem.

Ojciec stanął obok niej a Dot trzymała ją za rękę.

— Ja znam was wszystkich lepiej, niż myślicie, — rzekła Berta. — Ale najlepiej znam ją. Nawet ciebie, ojczy, nie znam tak dokładnie, jak ją. W całym moim otoczeniu nie ma nikogo tak szczerego i prawego. Gdybym w tej chwili odzyskała wzrok,

to ją poznałabym wśród całego tłumu ludzi. Moja siostra!

— Berto, dziecko drogie! — począł Kaleb. — Coś mi ciąży na sumieniu, o czym pragnąłbym ci powiedzieć, dopóki jesteśmy we troje. Posłuchaj mnie, kochanie! Mam ci coś wyznać, pieszczotko!

— Coś wyznać, ojcze?

— Dziecko drogie, porzuciłem drogę prawdy i zabląkałem się, moje dziecko, — rzekł Kaleb żałośnie, a twarz jego przybrała wyraz całkowicie bezbronny. — Chcąc ci sprawić przyjemność, porzuciłem drogę prawdy i byłem okrutny.

Zwróciła ku niemu twarz niezmiernie zdumioną i zapytała: — Okrutny?

— Berto, on się obwinia zbyt surowo, — rzekła Dot. — Zaraz to sama osądzisz i pierwsza mu to powiesz.

— On okrutny dla mnie! — zawołała Berta, uśmiechając się niedowierzająco.

— Bez złego zamiaru, dziecko drogie, — rzekł Kaleb. — Byłem jednak okrutny, jakkolwiek aż do wczorajszego wieczora nie zdawałem sobie z tego sprawy. Moje kochane, ślepe dziecko, wysłuchaj mnie i wybacz! Świat, w którym ty żyjesz, serce drogie, wcale nie istnieje. Świat prawdziwy jest inny niż ja ci przedstawiałem. Oczy, którym ufałaś, były fałszywe.

Wciąż jeszcze zwracała ku niemu swą zdumioną twarz, cofnęła się jednak instynktownie, tuląc się do przyjaciółki.

— Droga twego życia była twarda, moje biedactwo, — mówił Kaleb, — a ja ci ją chciałem uczy-

nić wygodniejszą i piękniejszą. Więc rzeczy i charaktery ludzi przekształcałem, wymyślając niejedno, czego wcale nie było, aby cię uczynić szczęśliwą. Zatajałem przed tobą rzeczy brzydkie i przedstawiałem ci wszystko w świetle pięknym, lecz niezgodnie z prawdą. Stworzyłem dla ciebie świat fantazji, zamiast rzeczywistego... Niech mi Bóg wybaczy.

— Ale żywi ludzie nie należą przecież do świata fantazji! — odrzekła szybko, błędąc gwałtownie i coraz bardziej się od niego cofając. — Ludzi zmieniać nie mogłeś!

— A jednak robiłem to, Berto, — rzekł Kaleb. — Człowiek, którego znasz, moja ptaszyno...

— Ach ojczu, czemu mówisz, że go znam? — odpowiedziała tonem gorzkiej wymówki. — Kogo i co ja mogę znać? Ja, która nie mam przewodnika! Ja, beznadziejnie ślepa!

I w ogromnej trwodze wyciągnęła przed siebie ręce, jakby sobie po omacku chciała torować drogę. Następnie rozłożyła je i rozpaczliwym, beznadziejnym ruchem ukryła w nich swą twarz.

— Pan młody, który dziś bierze ślub, — mówi Kaleb, — jest człowiekiem zatwardziałego serca, skąpcem, najokropniejszym wyzyskiwaczem. Człowiek ten, moje dziecko, przez wszystkie te długie lata był dla ciebie i dla mnie chlebodawcą też-względny i nieubłagany. Twarz jego jest tak samo szkaradna, jak jego charakter. Zimny, twardej, despota. Pod każdym względem niepodobny do obrazu, jaki ci skreśliłem. Pod żadnym względem!

— Ach! — krzyknęła ślepa, której męka, „dawało się, przekraczała jej możność cierpienia, — czemu to uczyniłeś? Czemu serce moje przepelniłeś zachwytem i miłością, by teraz zniszczyć to wszystko, niby śmierć okrutna! O Boże, jakże jestem ślepa! Jak bezbronna i sama!

Jej zgnębiony ojciec pochylił głowę pod brzemieniem cierpienia i skruchy, nie znajdując odłowiedzi.

Przez chwilę trwała w tej głębokiej rozpacz. gdy od ogniska ozwało się cichutkie ćwierkanie świerszcza, które tylko ona bystrym swym uchmem zdołała pochwycić. Nie było to ćwierkanie wesołe, lecz żałosne. Tak żałosne i smutne, że lzy jej zaczęły spływać z oczu; a gdy boginka, która przez całą noc dotrzymywała towarzystwa woźnicy, teraz stanęła za jej plecami, kierując jej myśli ku ojcu, „zy puściły się jej strumieniem.

Niebawem usłyszała wyraźniejsze ćwierkanie świerszcza i mimo ślepoty uświadomiła sobie obecność tej boginki, stojącej obok jej ojca.

— Dot, — rzekła ślepa, — powiedz mi, jak wygląda moje mieszkanie? Jak wygląda na prawdę?

— Ubogie jest Berto, bardzo ubogie i nagie. Jeszcze wytrzyma może najwyżej jedną zimę. Daje ono bardzo niedostateczne schronienie przed deszczem i wiatrem, — mówiła głosem cichym, lecz wyraźnym, — podobnie jak twego ojca niedostatecznie chroni przed zimnem i słotą ten marny płaszcz z żółtego płótna.

Ślepa wstała z krzesła, ogromnie wzburzona i pociągnęła Dot o parę kroków dalej.

— Te podarki, które przechowywałam tak troskliwie, bo były spełnieniem mych życzeń, zaiedwie wypowiedzianych, podarki, którymi tak się ogłumnie cieszyłam, — pytała drżącym głosem, — od kogo one pochodziły? Czy ty je przysyłałaś?

— Nie.

— Więc kto?

Dot widząc, że już się domyśliła, nie dawała żadnej odpowiedzi. Slepa znów ukryła twarz w łonach. Ale teraz uczyniła to gestem zgoła innym.

— Kochana Dot, jeszcze chwileczkę. Jeszcze małą chwileczkę. Cofnijmy się w najdalszy kąt pokoju. Ty zawsze mówisz prawdę, wiem o tym. Więc nie będziesz mnie teraz łudzić, prawda?

— Nie, Berto, na pewno nie!

— Tak, jestem o tym przekonana. Zbyt wiele masz dla mnie współczucia. Rozejrzyj się po pokoju... spójrz tam, gdzie stałyśmy przed chwilą, gdzie siedzi mój pożałowania godny, a tak mnie kochający ojciec. I powiedz mi dokładnie, co widzisz?

— Widzę, — rzekła Dot, doskonale rozumiejąca, o co jej chodzi, — widzę starego człowieka, zgnębionego i złamanego. Siedzi na krześle, z głową opartą na rękę, jak gdyby czekał, by córka pocieszyła go.

— Tak, tak, ona go pocieszy. I co dalej Dot?

— Jest starym człowiekiem, zniszczonym przez pracę i troskę. Mały, chudy, bardzo skromny pokorny, zadumany człowieczek. Ma włosy całkiem siwe, a w tej chwili jest pogrążony w głębokiej rozpacz i tak zdruzgotany, jak gdyby go opuściły

wszystkie siły. Nieraz jednak widywałam, jak z na-
tężeniem wszystkich sił, niestrudzenie pracował dla
wielkiego, świętego celu. Dlatego szanuję jego siwą
głowę i niech go Bóg ma w swej opiece!

Ślepa odbiegła od niej i padła przed ojcem na
kolana, tuląc jego siwą głowę do swej piersi.

— Odzyskałam wzrok! — zawołała. — Byłam
ślepa, a teraz mam widzące oczy. Nigdy go wpierw
nie znałam! Gdy pomyślę, że mogłam umrzeć, nie
ujrzawszy mego tak się poświęcającego, tak mnie
kochającego ojca!

Kaleb wzruszony nie znajdował odpowiedzi.

— Nikogo na wielkim świecie, chociażby był
najpiękniejszy, nie mogłabym kochać tak gorąco,
ani czcić tak głęboko, jak ciebie, ojczy. Im bardziej
siwy i zbiedzony, tym droższy jesteś memu sercu.
Nikt już nie może powiedzieć, że jestem ślepa.
W twarzy jego nie ma ani jednej zmarszczki, na
głowie ani jednego siwego włosa, którebym pomi-
nęła w mych modłach i dziękczynieniach, jakie ślę
do Boga!

Kaleb wciąż jeszcze nie mógł się zdobyć na sło-
wa i tylko raz po raz powtarzał: „Moja Bertal! Moja
Bertal!”

— A w mej ślepotcie, — mówiła dziewczyna,
obsypując go pieszczotami i płacząc ze wzrusze-
nia, — uważałam go za całkiem innego! Był przy
mnie zawsze, dzień w dzień, uprzedzając wszystkie
moje życzenia, a ja się tego nie domyślałam!

— Berto, skończyło się już z twym młodym
ojcem w błękitnym płaszczu, — rzekł biedny Kaleb.

— Nic się nie skończyło, — odrzekła. — Nic, ojciec najdroższy. Wszystko jeszcze jest — w tobie. Ojciec, którego tak kocham, którego nigdy nie kochałam dostatecznie, którego w ogóle nie znałam — dobroczyńca, którego kochałam i czciłam za to współczucie, jakie mi okazywał, przecież wszystko to jest w tobie. Nic dla mnie nie umarło. Dusza tego, co mi było najdroższe, pozostała przecież — widzę ją w tej wynędzniałej twarzy i w tych siwych włosach. I nie będę już ślepa, ojciec drogi.

Uwaga Dot była podczas tej całej rozmowy skupiona na ojcu i córce. Teraz jednak spojrzała na małego kosiarza przed maurytańskim pałacem i zobaczyła, że za parę minut zegar wybije godzinę, co ją wprowadziło w niepokój i rozdrażnienie.

— Ojciec, — z wahaniem poczęła Berta. — Dot...

— Tak, dziecko drogie, — rzekł Kaleb. — Dot jest tutaj.

— Przecież ona się nie zmieniła, nieprawdaż? Wszystko, co mi o niej mówiłaś, było prawdą? Przecież jej nie przetrzymałaś?

— Drogie dziecko, obawiam się, że i ją byłbym przeobraził, gdybym ją mógł być uczynić lepszą niż jest. Ale byłoby to tylko wyszło jej na niekorzyść, gdybym cośkolwiek był w niej zmienił. Nie, jej ulepszyć nie można.

Ślepa zadała to pytanie z pewnością niezachwianą; mimo to odpowiedź ojca tak ją uradowała i taką napęłniła dumą, że ponownie uściskała przyjaciółkę.

— A jednak, Berto, nastąpi może jeszcze więcej zmian niż przypuszczasz, — rzekła Dot. — Zmian

na lepsze, które niejednego z nas bardzo uradują. Gdyby zmiany te nastąpiły istotnie, to pamiętaj, byś się nie przestraszyła i nie brała ich sobie zbyt blisko do serca. Czy nie słyhać turkotu na drodze? Ty masz taki bystry słuch, Berto. Powieź!

— Tak, słyhać turkot i to coraz bliżej.

— Ja... ja... wiem, że masz bystry słuch, — rzekła Dot, przyciskając rękę do serca, gwałtownie tłukącego się jej w piersi. Poczęła mówić 'eraż szybko, gorączkowo, by ukryć ten niepokój wewnątrz. y. — Nieraz to już zauważyłam, a także wczoraj wieczór, kiedy tak szybko rozróżniłaś obce kroki. Nie rozumiem wprawdzie, dlaczego mnie zapytałaś: — czyje to kroki? — i dlaczego się w nie tak uważnie wsłuchiwałaś? Wiele się co prawda dokonywa zmian na świecie, dużo się zmienia w ludzkich losach, więc najlepiej być przygotowanym na rozmaite, najbardziej nawet zdumiewające wypadki.

Kaleb łamał sobie głowę, co znaczą jej tajemnicze słowa, z którymi zwracała się nie tylko do Berty, lecz także do niego. Był też w najwyższym stopniu zdumiony jej nie dającym się już dłużej ukrywać zaniepokojeniem i lękiem. Ledwie mogła oddychać z ogromnego wzburzenia i trzymała się poręczy rzesła, by nie upaść.

— Istotnie, turkot zbliża się z każdą chwilą! — rzekła, dysząc ciężko. — Słyszę go już niedaleko! Wóz przystaje przed furtką ogrodową... kroki tuż pod drzwiami... te same kroki, Berto, nieprawdaż? A teraz...

Wydała dziki okrzyk nie dającej się powstrzymać radości, podbiegła do Kaleba i zasłoniła mu

oczy rękami, gdy do izby wpadł młody człowiek, żywo wymachując kapeluszem i biegnąc do niej.

— Skończone? — wykrzyknęła Dot.

— Tak!

— I wszystko poszło dobrze?

— Tak!

— Kochany panie Kalebie, czy sobie nie przypominasz tego głosu? Czy nigdy nie słyszałeś podobnego? — zapytała Dot.

— Gdyby mój chłopak w Ameryce Południowej był jeszcze przy życiu, — rzekł drżącym głosem.

— Jest przy życiu! — zawołała Dot i odejmując ręce od jego oczu, dodała: — Spojrz, panie Kalebie! Oto stoi przed panem, zdrow i silny! Rodzony pański syn! Twój własny rodzony brat, Bertol!

Cześć małej kobiecie, że się tak gorąco cieszyć umiała! Cześć jej łzom i śmiechowi, gdy tych troje wzajem sobie padło w objęcia! Cześć jej serdeczności, z jaką przywitała ogorzałego majtka o ciemnych, kędzierzawych włosach i zamiast usunąć różowe usta, całkiem swobodnie pozwoliła mu się ucałować i przycisnąć do jego triumfującego serca!

I cześć też kukułce — bo czemużby nie? — że oto wybiegła z maurytańskiego pałacu niby nąty włamywacz i dwanaście razy krzyknęła przed obecnymi, jakby się była upiła z radości!

Woźnica wszedł i przystanął, co łatwo zrozumieć, gdyż nie spodziewał się zastać tak wesolego towarzystwa.

— Johnie, spójrz tylko! — radośnie wykrzyknął Kaleb. — Spójrz, proszę! Mój chłopak z Południowej

Ameryki! Mój syn, którego sam wyekwipowałeś i wyprawiłeś w świat! Dla którego zawsze byłeś przyjacielem i dobroczyńcą!

Woźnica podszedł, by mu uściśnąć rękę, lecz poznawszy w twarzy młodego człowieka rysy głuchego starca, cofnął się i zapytał.

— To ty byłeś, Edwardzie?

— Opowiedz mu wszystko! — zawołała Dot. — Edwardzie, opowiedz mu wszystko. I nie oszczędzaj mnie wcale!

— Tak, to ja byłem, — rzekł Edward.

— I mogłeś w przebraniu wśliznąć się do domu swego starego przyjaciela? — odparł woźnica. — Kiedyś — ileż to lat upłynęło, Kalebie, od czasu, gdyśmy się dowiedzieli o jego śmierci? — tak, kiedyś byłeś szczerym, otwartym młodzieńcem, któryby nigdy nie był tak postąpił!

— Tak, a ja też miałem kiedyś szlachetnego przyjaciela, który był mi raczej ojcem niż przyjacielem, — rzekł Edward, — i który nie byłby mnie potępił, zanim mnie wysłuchał. Tym przyjacielem byłeś ty! I dlatego jestem pewny, że i teraz mnie wysłuchasz.

Woźnica rzucił niepewne spojrzenie na Dot, wciąż jeszcze trzymającą się zdala od niego i odparł. — No tak, słuszne to i sprawiedliwe, bym wysłuchał, co mi masz do powiedzenia; więc słucham.

— Musisz wiedzieć, — zaczął Edward, — że odjeżdżając stąd jako młody chłopak, byłem zakochany i zyskałem też wzajemność. Ona była wówczas tak młodziutka, że — może tak pomyślicie --

nie mogła jeszcze znać swego serca. Ale ja znałem swoje i kochałem ją gorąco.

— Ty? — wykrzyknął woźnica, — ty?

— Tak, ja! — odparł młody człowiek. — A ona odpłacała mi wzajemnością. Zawsze w to wierzyłem, a teraz mam już pewność niezbitą!

— Boże, bądź mi miłościwi! — szepnął woźnica. — To najgorsze ze wszystkiego!

— Ja byłem jej wierny, — mówił Edward: — po wielu ciężkich doświadczeniach i niebezpieczeństwach, wróciłem, pełen najlepszej nadziei, jak się kiedyś umówiliśmy; i oto w sąsiedztwie dowiedziałem się, że ona o mnie zapomniała i oddała swą rękę człowiekowi bogatszemu. Nie miałem zamiaru kryć jej wyrzutów, ale pragnąłem ją zobaczyć i przekonać się naocznie, że tak jest istotnie. Miałem nadzieję, że może wbrew jej woli, bez względu na naszą miłość, zmuszono ją do tego małżeństwa. Byłoby to co prawda niezbyt wielką pociechą, ale bądź co bądź pociechą; pomyślałem i przybyłem tu. Chciałem się dowiedzieć prawdy, szczerzej prawdy, nie liczącej się ze względami na mnie i chęcią oszczędzenia mi bólu, a z drugiej strony nie chciałem też sam wywierać żadnego wpływu — o ile go jeszcze posiadałem. Dlatego przebrałem się, jak wiecie, i czekałem na drodze — o czym ci również wiadomo. Ty, Johnie, nie miałeś najłżejszego podejrzenia, a także i ona, — wskazał na Dot, — niczego się nie domyślała, dopóki przy kominku nie szepnąłem jej paru słów, które ją tak przeraziły, że mnie omal nie zdradziła.

-- Gdy się jednak dowiedziała, że Edward żyje

i powrócił — zaczęła Dot, łkając, gdyż nie mogła już dłużej wytrwać w milczeniu, — gdy się o tym dowiedziała, a także o celu jego przybycia, poradziła mu, by za wszelką cenę zachował wszystko w tajemnicy. Jego bowiem stary przyjaciel, John Peerybingle, jest nazbyt otwarty, a w sprawach, wymagających trochę chytryści, także nazbyt nieporadny, — mówiła Dot, śmiejąc się i płacząc na przemian, — by mógł dochować tajemnicy. A gdy mu wszystko opowiedziała, — to jest ja, Johnie, — łkając Dot, — że jego ukochana uważa go za umarłego i że matka jej namówiła ją do małżeństwa, które ta niemądra stara kobieta uważa za bardzo korzystne; i gdy mu powiedziała — to także ja, Johnie — że oni się jeszcze wcale nie pobrali, chociaż się na to zanoszą, i że, o ile to małżeństwo dojdzie do skutku, to ona będzie nieszczęśliwą ofiarą, gdyż z jej strony nie ma mowy o żadnej miłości, co na niego tak podziało, że omal nie oszalał z radości, wtedy ona — to znów ja — przyrzekła mu pośredniczyć, jak nieraz dawniej pośredniczyła między kochającymi, przyrzekła mu wy badać jego ukochaną, będąc z góry przekonana, że tak jest, jak ona o niej sądziła i myślała. I miała słuszność, Johnie! A tych dwoje porozumiało się jeszcze na czas, Johnie! I oto panna młoda! A Gruff i Tackleton może sobie do śmierci pozostać starym kawalerem! A ja jestem taka szczęśliwa, May, taka szczęśliwa! Niech cię Bóg błogosławi!

Pod naporem tak różnorodnych uczuć, woźnica stał jak oghuszony. Teraz rzucił się ku niej, ale Dot wyciągnęła rękę, powstrzymując go w jego zapędzie i stała dalej w pewnej odległości od niego.

— Nie, Johnnie, nie! Wszystko musisz usłyszeć. I nie kochaj mnie, zanim nie dowiesz się wszystkiego, co ci mam do powiedzenia. Nieśluszenie postąpiłam, mając przed tobą tajemnicę. I z tego powodu jest mi przykro. Nie widziałam w tym nic złego, aż do wczorajszego wieczora, kiedy miałam usiąść obok ciebie na niskim stołeczku. Ale gdy w twarzy twej wyczytałam, że widziałeś mnie na korytarzu Tackletona, przechadzającą się z Edwardem, i gdy zrozumiałam, co sobie pomyślałeś, wtedy dopiero uczułam, jak lekkomyślnie i niewłaściwie postąpiłam! Ale Johnnie, mój kochany Johnnie, jak mogłeś coś takiego pomyśleć!

I znów mała kobieta zaczęła łkać gwałtownie, a John Peerybingle byłby ją najchętniej wziął na ręce jak małe dziecko, ale nie pozwoliła na to.

— Jeszcze mnie nie kochaj Johnnie, proszę! Jeszcze przez chwileczkę mnie nie kochaj! Jeżeli to zamierzone małżeństwo tak mnie trapiło, to miałam do tego powód dostateczny. Bo wiedziałam, że May i Edward kochają się od najpierwszej młodości i wiedziałam, że serce May wcale się nie skłania ku Tackletonowi. Przecież mi teraz wierzysz, prawda?

John w odpowiedzi znów chciał ku niej podbiec, ale powstrzymała go jak poprzednio.

— Nie, Johnnie, pozostań na swym miejscu! Jeśli się czasem z ciebie śmieję i nazywam cię niedołągą i moim starym głuptasem, to ma to swoją przyczynę, Johnnie. Bo kocham cię z całej duszy i podobasz mi się taki, jaki jesteś, i nie chciałabym, byś był inny, chociażby cię zaraz jutro mieli zrobić królem!

— Hurra! — wykrzyknął Kaleb głosem niezwykle silnym. — Ja jestem tego samego zdania!

— A jeśli raz powiedziałam, że pewien jegość jest już w średnim wieku i zachowuje się stacecznie i poważnie i że tworzymy taką filisterską parę, co tak powolutku, krok za krokiem, idzie sobie przez życie, to miałam też swój powód po temu. Bo widzisz, Johnie, ja jestem taką sobie głupiutką kobietką i od czasu do czasu lubię trochę z ciebie żartować i urządzić małą komedyjkę.

Widziała, że znów się do niej zbliża i jeszcze raz próbowała go powstrzymać, ale było już niemal zapóźno.

— Nie, jeszcze mnie nie kochaj, jeszcze przez jedną minutę mnie nie kochaj! Co ci przede wszystkim miałam do powiedzenia, to zachowałam na sam koniec. Mój kochany, dobry, szlachetny Johnie, kiedy wczoraj wieczór mówiliśmy o świerszczu, chciałam ci powiedzieć, że z początku nie kochałam cię tak serdecznie jak teraz; że zaraz po przybyciu do twego domu, niemal się bałam czy potrafię cię tak kochać, jak tego pragnęłam i spodziewałam się. Bo widzisz, Johnie, byłam przecież jeszcze taka młoda! Ale z każdym dniem, Johnie, z każdą niemal godziną coraz bardziej cię kochałam! A gdyby w ogóle można było bardziej kochać, to na pewno miłość moja spotęgowałaby się jeszcze po szlachetnych słowach, jakie dziś rano z ust twych usłyszałam. Ale bardziej cię już kochać nie mogę, bo to niemożliwe. Całą miłość, do jakiej byłam zdolna — a była to spora dawka, Johnie — oddałam tobie, jak na to zasługujesz, i nie potrafiłabym już kochać więcej. A teraz,

kochany mężu, przytul mnie znów do swego serca!
To jest mój dom i nigdy już, nigdy nie myśl o usunięciu mnie od tego ogniska.

Możecie być pewni, że woźnica nie posiadał się ze szczęścia; i możecie być pewni, że mała Dot podzielała w zupełności to jego uczucie; i możecie być pewni, że wszyscy uczestniczyli w ich radości, nawet Tilly, która płakała z radości, a pragnąc, aby także niemowlę brało udział w ogólnych gratulacjach, wsuwała je każdemu w ramiona, niby kieliszek, którym się trzeba trącić przy toaście.

Teraz znów dał się słyszeć turkot kół przed domem, a ktoś zawołał, że Gruff i Tackleton powrócił. Niebawem też ukazał się ten znakomity pan, strasznie zgrzany i podniecony z wielkiego pośpiechu.

— Cóż to u licha znaczy, Johnie Peerybingle! — zawołał Tackleton, — widocznie zaszła pomyłka! Powiedziałem mej przyszłej żonie, że się spotkamy koło kościoła i jestem pewny, że się z nią rozminąłem. A przecież ona jest tu! Proszę wybaczyć, nie mam przyjemności znać pana, ale muszę prosić, by się pan chwilowo wyrzekł towarzystwa tej młodej damy, gdyż ma teraz coś ważnego do spełnienia.

— Nie mogę się wyrzec jej towarzystwa, — odparł Edward. — Pod żadnym warunkiem.

— Co to ma znaczyć, obcy przybłądo? — krzyknął Tackleton.

— To ma znaczyć, — odparł tamten z uśmiechem, — że rozumiem pańskie rozdrażnienie, ale jestem dziś tak samo głuchy na pańskie grubiaństwa, jak wczoraj wieczór głuchy byłem na wszystkie pańskie słowa.

To wściekle spojrzenie, jakie mu rzucił Tackleton! Ten gniew, jakim zawrzał stary żółciowiec!

— Bardzo mi przykro, panie Tackleton, — rzekł Edward, ujmując lewą rękę May i wskazując na obrączkę na palcu, — że ta młoda dama nie może panu towarzyszyć do kościoła, ponieważ jednak była tam już dziś rano; więc wybacz pan.

Tackleton spojrział bystro na obrączkę May i wydobył z kieszeni coś — zapewne pierścionek — owinięty w bibułę. — Panno Tilly — zwrócił się do piastunki, — będzie panienka tak dobra wrzucić to do pieca? Dziękuję.

— Dawne zobowiązanie, zaręczyny z czasów pierwszej młodości nie pozwoliły mojej żonie dotrzymać umowy z panem, — rzekł Edward.

— Pan Tackleton będzie chyba na tyle sprawiedliwy, by przyznać, że opowiedziałam mu o tych zaręczynach. Nieraz mu też mówiłam, że nigdy nie zapomnę mego pierwszego narzeczonego, — dodała May, oblewając się rumieńcem.

— Tak! Naturalnie! — rzekł Tackleton. — To wszystko prawda i wszystko w porządku, panie Plummer. Mam wrażenie, że się nie mylę?

— Tak się nazywam, — rzekł młody małżonek.

— Ach tak! Nie byłbym pana poznał, — rzekł Tackleton, spojrział mu prosto w oczy i skłonił się głęboko. — Życzę dużo szczęścia!

— Dziękuję.

— Pani Peerybingle, — rzekł Tackleton, zwracając się do Dot, stojącej obok męża, — bardzo panią przepraszam. Nie wyświadczyła mi pani wpraw-

dzie miłej przysługi, ale proszę mi wierzyć, bardzo panią przepraszam. Jest pani lepsza, niż sądziłem. Johnie Peerybingle, bardzo pana przepraszam; pan mnie rozumie, a to wystarcza. Wszystko w porządku, panie i panowie. Wszystko się dobrze kończy. Żegnam.

Tymi słowy zakończył sprawę, a także swoją wizytę. Przystanął jeszcze przed domem, zdjął wstążki i kwiaty z głowy konia i pchnął go między żebra, jakby mu w ten sposób chciał dać do poznania, że całą tę maskaradę uważa za bezczelność.

Rozumie się, że święty obowiązek nakazywał obchodzić ten dzień jak radosną uroczystość, która w kalendarzu państwa Peerybingle miała po wszystkie czasy pozostać niezapomnianą. A więc w okamgnieniu Dot zabrała się swymi pulchnymi rączkami do robienia ciasta, a ilekroć podchodziła do męża, by go pocałować, za każdym razem pozostawiała na nim ślady mąki. A ten pocziwiec krzątał się też żywo, skrobał jarzynę, plukał buraki, tłukł talerze, przewracał na kuchni garnki z wodą, na wszelkie sposoby starając się małej Dot umniejszyć pracy. Po chwili przyszło z sąsiedztwa kilka kobiet, które zaczęły się uwijać i krzątać, jakby chodziło o śmierć i życie, przy czym żwawe te kumoszki co chwila się potęrały. Ze przy tej sposobności Tilly i dziecko też oberwali niemało szturchańców, to się rozumie samo przez się. Pod tym względem Tilly okazała się dziś wprost niezrównaną. Jej wszędobylskie zdolności budziły ogólny podziw. Brakowało pięciu minut do pół do trzeciej, kiedy w korytarzu sterczała jak kamień, o który każdy się musiał potknąć, punktualnie o pół do trzeciej spełniała już te same funk-

cje w kuchni, a pięć minut przed trzecią na poddaszu. Główna dziecka stała się wobec tego kamieniem probierczym dla wszystkich możliwych przedmiotów ze świata fauny, flory i minerałów. Wszystko, cokolwiek tego dnia było w użyciu, prędzej czy później musiało zetknąć się z główką maleństwa.

Następnie urządzono wielką wyprawę, która wyruszyła na poszukiwanie pani Fielding. Chodziło o wyrażenie tej czcigodnej damie słów głębokiej skruchy i o sprowadzenie jej, bodaj przemocą, by wzięła udział w ogólnym szczęściu i córce swej raczyła wybaczyć. A gdy członkowie wyprawy odkryli wreszcie tę pocziwą niewiastę, w pierwszej chwili nie chciała się żadną miarą wdawać w układy, powtarzając raz po raz: — Czemu musiałam dożyć tego dnia! — Niepodobna też było wydobyć z niej nic innego, prócz tego jedyne go frazesu: — Zanieście mnie teraz do grobu! — co brzmiało niezwykle dziwnie, bo wcale nie umarła, a przeciwnie, wyglądała zdrowo i czerstwo jak rydz. Po chwili zapadła w niesamowity spokój i oświadczyła, że od owego nieszczęsnego ciosu w handlu indygiem z góry już była przeświadczona, że przez całe życie będzie zmuszona znosić wszelkiego rodzaju obelgi i przykrości. I do tego też doszło; dlatego niech sobie nie zadają żadnego przymusu i niech się wcale nie krepują. Bo czymże jest ona teraz? Zerem, niczym! Najlepiej też zrobią, jeśli w ogóle zapomną, że taka istota snuje się jeszcze po świecie, i przestaną się z nią liczyć. Z tego nastroju sarkastycznie rozgoryczonego, wpadła znów w rozdrażnienie, czyniąc oryginalną uwagę, że nawet robak się broni, gdy go depcą; następnie pogiążyła się w bolesnej zadumie

i oświadczyła, że byłaby udzieliła niejednej dobrej rady, gdyby ją byli wcześniej wtajemniczyli! Z tego szczęśliwego przesilenia uczuć skorzystała deputacja, by uścisnąć udobruchaną matronę. Niedługo potem stała już w kapeluszu i rękawiczkach, by wyruszyć do państwa Peerybingle. Miała co prawda minę przerażająco dostojną, a w ręku niosła coś zawiniętego w papier, co nie było niczym innym jak odświętnym stroikiem, niemal tak dużym i sztywnym jak infuła.

Drugim powozikiem mieli przybyć rodzice Dot, którzy się jakoś spaźniali. Wywołało to najrozmaitsze obawy; co chwila więc wybiegał ktoś na drogę, zobaczyć czy nie nadjeżdżają. Pani Fielding spoglądała naturalnie w kierunku odwrotnym i logicznie niemożliwym, a gdy zwrócono jej uwagę, odparła z miną wyniosłą, że wolno jej chyba patrzeć, gdzie się jej podoba. Nareszcie przyjechali — mała, tęga parka w miękko wysłanej ładnej bryczuszce. Na pierwszy rzut oka uderzało podobieństwo ich z córką, a Dot i matka, gdy stanęły obok siebie, przedstawiały widok chwytający za serce — tak bardzo były do siebie podobne.

Następnie matka Dot odświeżyła znajomość z matką May, przy czym matka May wciąż pozowała na dostojną damę, gdy matka Dot była uosobieniem prostoty i serdeczności. A stary Dot — tak nazwijmy ojca — całkiem zapomniałem, że to nie jest jego prawdziwe nazwisko, ale to nic nie szkodzi — pozwalał sobie na ton zgoła swobodny, ściskając czcigodnej matronie ręce jak swojej córce, przechodząc do porządku dziennego nad wspianiałym stroikiem, co najwyżej dziwiąc się w cichości, jak można nosić

na głowie tyle gazy i muślinu. A co najgorsze, wcale nie chciał słuchać długiej rozprawy o handlu indygiem, oświadczając krótko i węzłowato, że szkoda na to czasu i atłasu. Gdyby pani Fielding zechciała wypowiedzieć o nim swój sąd, to brzmiałby on niewątpliwie: — ach tak, dobroduszny pocziwiec, ale bez najmniejszej ogłady!

Za wszystkie skárby świata nie wyrzekłbym się teraz widoku Dot w ślubnej sukni, czyniącej honory domu! Błogosławię jej pogodną, promieniejącą twarzyczkę! A tak samo nie wyrzekłbym się widoku dobrego, jowialnego woźnicy o czerstwej, pełnej twarzy, gdy oto zasiadł na szarym końcu stołu! Ani widoku młodego, ogorzałego majtka i jego urodzivej żony! Jednym słowem, nikogo z nich! A kto by się był wyrzekł uczty, do której oto zasiedli, byłby utracił najobfitszy i najsmaczniejszy obiad, jaki kiedykolwiek podano na stół! A kto by się był wyrzekł napełnionych szklanic, którymi się teraz biesiadnicy tręcali, byłby poniósł niepowetowaną stratę.

Po obiedzie Kaleb zaśpiewał o pieniącym się puharze. I przysięgam, jak mi życie miłe, że pieśń tę odśpiewał od początku do końca.

A gdy kończył właśnie ostatnią strofkę, zdarzyło się coś zgoła nieoczekiwanego.

Ozwało się pukanie do drzwi i wsunął się jakiś człowiek, nie powiedziawszy nawet: „przepraszam”, albo „za pozwoleniem”. Na głowie niósł coś ciężkiego. Pakiet ten ustawił całkiem symetrycznie na środku stołu, pomiędzy jabłkami a orzechami i rzekł:

— Ukłony od pana Tackletona, a ponieważ kołacz jest mu niepotrzebny, więc zapytuje, czy państwo by go nie spożyli? — Co rzekłszy, wyszedł.

Możecie sobie wyobrazić zdumienie całego towarzystwa. Pani Fielding, jako osoba, odznaczająca się niezgłębiałą bystrością sądu, napomknęła, że kołacz może być zatruty i od razu przytoczyła anegdotkę o kołaczu, po którego spożyciu wszystkie pensjonarki od razu posiniały na twarzy. Przegłosowano ją jednak i May, wśród ogólnych okrzyków radości, uroczyście rozkroiła kołacz.

Zdaje mi się, że nikt go jeszcze nie zdołał pokosztować, gdy znów się ozwało pukanie i zjawił się ten sam posłaniec, niosąc dużą paczkę, owiniętą w brązowy papier.

— Pan Tackleton kłania się i przysyła dla dziecka parę zabawek. Bardzo ładnych.

Po tych słowach wyszedł.

Całe towarzystwo byłoby niewątpliwie w dużym kłopotcie, jak wyrazić swe zdumienie, gdyby w ogóle mieli czas zastanowić się. Nie mieli jednak czasu, bo, zaledwie drzwi się zamknęły za posłańcem, znów zapukano do drzwi i Tackleton we własnej osobie wmaszerował do pokoju.

— Pani Peerybingle! — rzekł handlarz zabawek, trzymając w ręku kapelusz. — Bardzo przepraszam, jeszcze goręcej niż dziś rano. Miałem czas zastanowić się. Johnie Peerybingle! Ja jestem z natury zgryźliwy, ale stykanie się z takim człowiekiem jak pan, działa na mnie niby balsam kojący. Dobrze to na mnie działa i rozwesela mnie, Kalebie. Ta oto piastunka, wcale o tym nie wiedząc udzieliła mi wczoraj pewnej wskazówki, której się trzymałem.

Czerwienię się na myśl, jak łatwo mogłem być przykuć do siebie was i waszą córkę i jak głupim byłem szaleńcem, gdy ją uważałem za wariatkę. Przyjaciele, dom mój jest dziś bardzo samotny. Nie mam nawet za kominem świerszcza, bo wszystkie sam wypłoszyłem. Więc bądźcie litościwi i pozwólcie mi się przyłączyć do waszego wesołego grona!

Po upływie pięciu minut czuł się zupełnie zadowolony. A takiego przyjemnego towarzysza zabawy nie zobaczycie zapewne po raz wtóry. Co on z siebie robił przez całe życie, że nigdy dotąd nie odkrył w sobie wielkiego talentu towarzyskiego i jowialnego usposobienia? Albo, co z niego zrobiły elfy, dokonywując takiego przeobrażenia?

— Johnie, wszak dziś wieczór nie odeślesz mnie do rodziców, prawda? — szepnęła Dot.

• A jednak „niewiele brakowało”, a byłby to uczynił.

Brakowało już tylko jednej istoty do uzupełnienia towarzystwa, a zanim się spostrzeżono, istota ta się zjawiała, zdyszana od szybkiego biegu, na próżno usiłując wcisnąć łeb do wąskiego dzbana. Istotą tą był Bokser. Biegł on za wozem, któremu przez cały czas towarzyszył, bardzo markotny, że powozi nie jego pan, lecz jego zastępcę, któremu też dał odczuć swe niezadowolenie. Powąłęsawszy się przez chwilę w stajni, gdzie próbował zbuntować starego konia i skłonić go do własnowolnego powrotu do domu, wstąpił do szynku i ułożył się przed ogniskiem. Za chwilę jednak doszedł do przekonania, że nie ma on obowiązku towarzyszenia zastępcy swego pana i, podniósłszy ogon, pobiegł prościuteńko do domu.

Wieczorem urządzono tańce. Mógłbym poprzestać na wzmiance o tej ogólnie lubianej rozrywce, gdybym nie miał powodu uważania tej zabawy tańczej za całkiem niezwykłą i oryginalną.

Edward, majtek, — miły, wesoły, rzeźki chłopak — opowiadał im o najrozmaitszych dziwacznościach i papugach i kopalniach kruszcu, o Meksykańczykach i złotym proszku, gdy nagle zerwał się z krzesła i zaproponował tańce. Harfa Berty była u Peerybingle'ów, a ślepa dziewczyna bardzo dobrze na niej grała. Dot, która umiała doskonale stroić minki i odgrywać komedię, powiedziała, że dla niej minął już czas tańców. Myślę, że powiedziała to jedynie dlatego, że woźnica palił właśnie fajkę, a ona najchętniej siedziała wtedy obok niego. Wobec tego i pani Fielding nie pozostało nic innego jak powiedzieć, że dla niej również minął już czas tańców. I wszyscy powiedzieli to samo, z wyjątkiem May. May była gotowa do tańca.

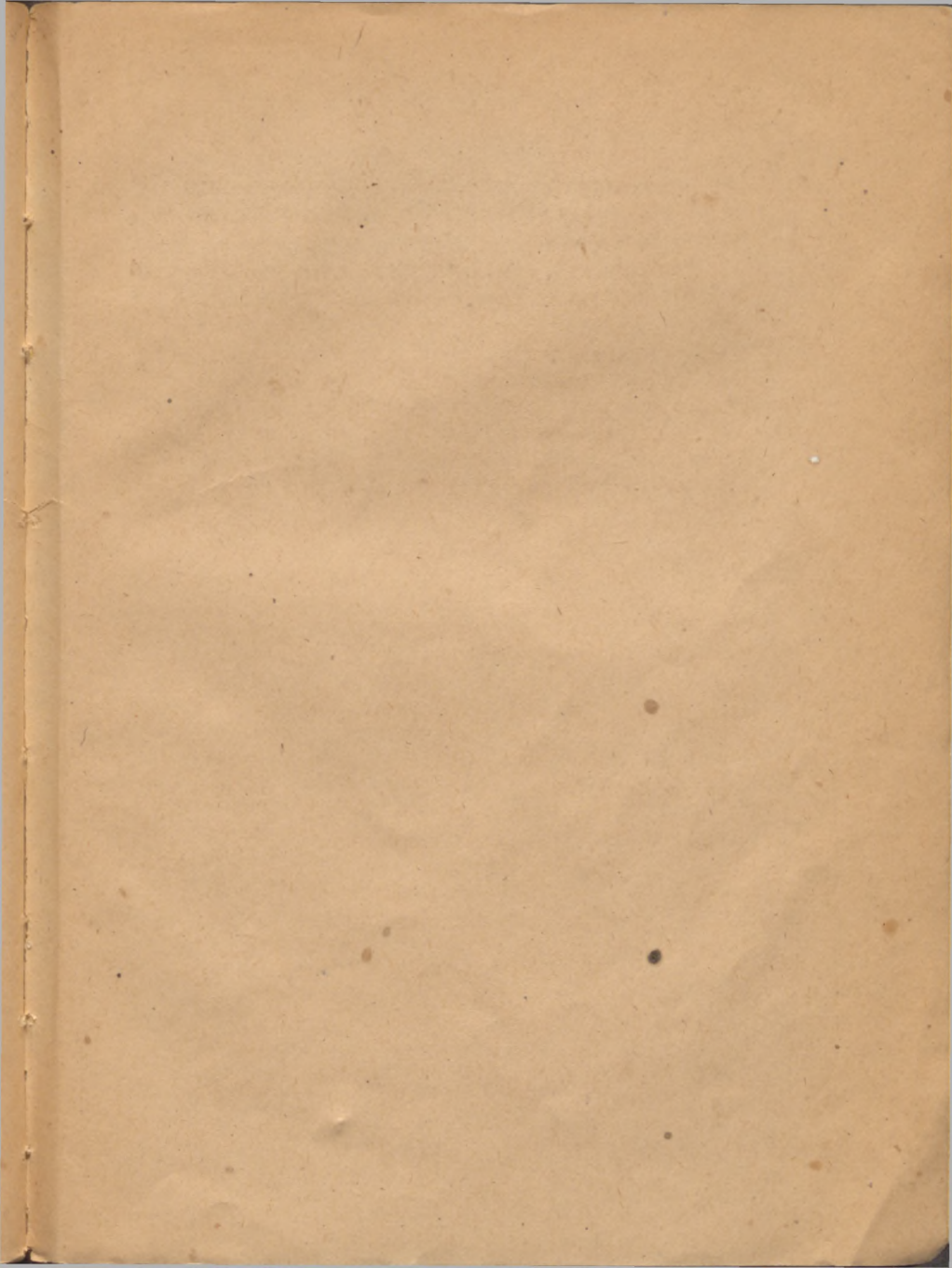
Tedy wśród hucznych oklasków, May i Edward zaczęli tańczyć sami, a Berta grała najżywsze, najweselsze melodie taneczne.

Możecie mi jednak wierzyć, że nie tańczyli jeszcze pięciu minut, gdy woźnica odrzuca nagle fajkę, obejmuje Dot w pól i zaczyna z nią wirować aż miło patrzeć. Zaledwie widzi to Tackleton, rzuca się ku pani Fielding, chwytą ją w objęcia i puszcza się w tan. Zaledwie to widzi stary Dot, a już się zrywa z krzesła, przyłącza się ze swą żoną do tańczących par i od razu zaćmiewa wszystkich swym temperamentem. Co widząc Kaleb, chwytą Tilly za ręce i puszcza się za innymi, pomimo że piastunka nie ma najłżejszego wyobrażenia o tańcach i uważa,

że najwyższa sztuka tańczenia na tym polega, by co chwila wpaść na inną parę i spowodować jak najwięcej karamboli.

Posłuchajcie, jak świerszcz swym ćwierkaniem wtóruje muzyce, a kociot akompaniuje mruczeniem!

Ale co to? Gdy się wsłuchuję jeszcze w ich głosy, zupełnie wniebowzięty, gdy się oglądam za Dot, by raz jeszcze zobaczyć tę tak bardzo mi miłą postać, wszyscy nagle zniknęli mi z przed oczu, tak ona, jak i całe towarzystwo, i jestem sam. Świerszcz ćwierka koło ogniska, złamana zabawka dziecka leży na podłodze — wszystko inne pierzchło.



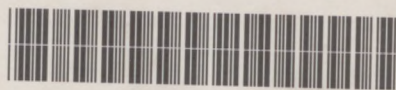
że najwyższa sztuka tańczenia na tym polega, by
co chwila wpaść na inną parę i spowodować jak naj-
więcej karamboli.

Posłuchajcie, jak świerszcz swym ćwierkaniem
wtóruje muzyce, a kociół akompaniuje mrużeniem!

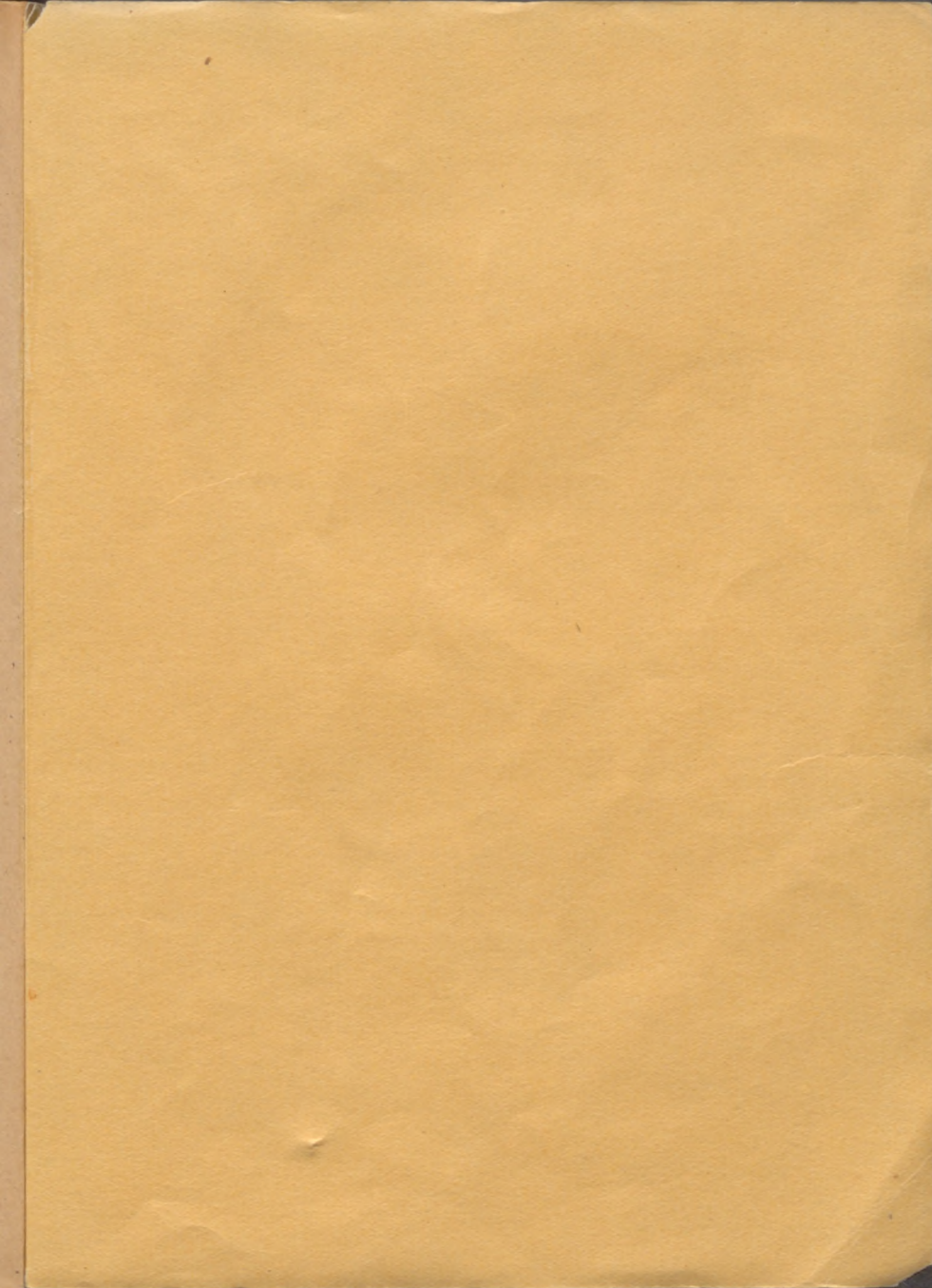
Ale co to? Gdy się wsłuchuję jeszcze w ich
głosy, zupełnie wniebowzięty, gdy się oglądam za
Dot, by raz jeszcze zobaczyć tę tak bardzo mi miłą
postać, wszyscy nagle zniknęli mi z przed oczu, tak
ona, jak i całe towarzystwo, i jestem sam. Świerszcz
ćwierka koło ogniska, złamana zabawka dziecka
leży na podłodze — wszystko inne pierzchno.



Biblioteka Główna UMK



300000763896



312/57

rd/5,30

283285